

AK
W-wo
Misto

GRUSZCZYŃSKA Janina
zam. Janiek
p.n. "Paweczka", "Janke"

2552¹/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — GRUSZCZYŃSKA Jeruśma
z domu Jerielek

I/1. Relacja ✓

2552/WBK

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora ✓

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... ✓

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne —

VI. Fotografie ✓

I/1 Relacje

1. J. Gmurczyńska-Janiak, Note biograficzne, Poznań, mpn / kserol, k. 1., n. 1.
2. Relacje w formie opiniujące wydruki z 2 IX 1944 r., Poznań, 27 I 1947 r. / uzupełnienie z 14 VII 1994 r., mpn / kserol,
I - uszy egzemplarz - k. 17, s. 2-18
II - pi egzemplarz - k. 16, s. 18-34
3. Życiorys, Poznań 2001, mpn / kserol, k. 4, s. 35-38



Wszystkie egzemplarze



Janina Gruszczyńska-Jasiak
zam. 60-186 Poznań

Nota biograficzna

Urodzona 11.12.1922r. w Warszawie c. Tadeusza i Natalii.

Ojciec ¹⁹²² Tadeusz Gruszczyński ^{okolic WP} brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920r. i w wojnie w 1939r.

W latach 1932-1939 uczęszczała do gimnazium J.Kowalczykówny i J. Jaworkówny w W/wie, a następnie na tajne komplety w. wym. szkoły. Maturę otrzymała w 1941r. W latach 1941-1944 kontynuowała naukę w Miejskiej Szkole Handlowej E. Lipińskiego - tajne SGH.

Od jesieni 1941r. w ZWZ, a następnie w Harcerskim Batalionie "Wigry" A.K. przeszła szkolenie sanitarne i bojowe pod ps. "Porzącka", "Janka". Brała czynny udział w Powstaniu Warszawskim na Starym Mieście jako sanitariuszka II plut.kompanii szturmowej bat. "Wigry". Ranna 13.08.44r. od wybuchu czołgu na ul. Kilińskiego.

2.09.44r. po wycofaniu się oddziałów Starego Miasta do Śródmieścia i na Żoliborz pozostała dobrowolnie z ciężko rannymi kolegami, których nie można było ewakuować kanałami. Wraz z nią pozostała m.in. kol. Barbara Piotrowska ps. "Pająk" z którą usiłowała ratować rannych przed egzekucją niemiecką i paleniem żywcem /ul. Kilińskiego 1-3, ul. Długa 7/. 2.09.44r. opuściła Stare Miasto z personelem szpitala, wynosząc na własnych plecach na Wolę ciężko rannego Jerzego Szymańskiego ps. "Ikar".

Po obozie w Pruszkowie ^{wywieziona} do obozu pracy przymusowej we Wrocławiu /d. Breslau/, gdzie pracowała w Zakładach "Famo-Werke". Po ucieczce z obozu 9 grudnia 1944r. przebywała w Nowym Targu lutego 1945r. powróciła do Warszawy i podjęła prace przy budowy Stolicy. Po zakończeniu studiów na SGH w Gdyni /Gdynia, Szczecin/, gdzie pracowała w przedsiębiorstwach.

Odznaczenia: Krzyż Walecznych leg.Nr
Krzyż Kawalerski OOP leg.
Krzyż Armii Krajowej leg.
Warszawski Krzyż Powstańczy leg.Nr 11-82-104K
Krzyż Partyzancki leg.Nr 965-71-3
Medal za Warszawę leg.Nr 965-71-16

Pozycje bibliograficzne: Robert Bielecki "Gustaw-Harnaś dwa powstańcze bataliony"
Robert Bielecki "Batalion Harc."Wigry"
R.Bielecki "Długa 7 w Powst.Warsz."

Nota biograficzna
Janina Gruszczyńska - wazial otrzymatam od niej w XI. 2000r., wraz z relacją z 2.18.1949r. Pochaziła dla Swoja Krasnodolka 5 Fundacji AK w Tomim, luty 2001r.

Janina Gruszczyńska-Jasiak
zam. w Poznaniu,
saniteriuszka 2-go plutonu kompanii
szturmowej "WIGRY", ps. "Janka"

JN-2

Moja relacja przedstawia zdarzenia z dn. 2-go września 1944r. po likwidacji szpitala przy ul. Długiej 7 i jest dalszym ciągiem wspomnień spisanych przez sanitariuszkę Barbarę Gancarczyk, z którą razem pozostałam na starym mieście, aby opiekować się ciężko rannymi kolegami z naszego batalionu.

- - - - -

Stoimy z Basią na podwórzu szpitala przy ul. Długiej 7. Z rozpaczą upatrujemy się w okna pierwszego piętra, za którymi znajdują się trzech nasi koledzy. Słychać pojedyncze strzały rewolwerowe. Podoficer Wehrmachtu, którego błagaliśmy o pomoc idzie właśnie ku nam przez podwórze. Unikając naszego wzroku mówi cicho:
- Niestety, tam nie ma po co iść. Jest już za późno -
A więc nie żyją. Nogi uginają się pod mną. Siadam na najbliższym odłamie gruzu i zdaje mi się, że spadam w czarną przepaść. Po chwili zawrót głowy mija. Dostrzegam obok siebie Basię, która stoi wciąż wpatrzona w okna sali na pierwszym piętrze. Na jej brudnej, osmolonej twarzy lży wymywają dwie jasne bruzdy.

Spośród niemieckich żołnierzy wyłania się ojciec Rostworowski. Podnosi drżące ręce czyniąc znak krzyża, udzielając absencji umierającym. Podbiegamy do niego z płaczem, chwytamy za ręce, szukając ratunku i pociechy.

Ojciec Tomasz jest blady jak płótno, drży cały, oczy ma także pełne łez.

- To straszne, to potworne - powtarza ciągle.

Nie ma sensu pozostawać tu dłużej. Bierzymy o. Tomasza pod ręce i szlochając opuszczamy teren szpitala. Wychodzimy na ul. Podwale.

O. Tomasz, Basia i ja byliśmy zapewne ostatnimi Polakami, którzy żywi opuścili szpital przy ul. Długiej 7. Szliśmy teraz wolno obok siebie, w całkowitym milczeniu. Na ul. Podwale nie było już niemieckich żołnierzy, ani mieszkańców Starówki opuszczających z tobołkami swoje domy. Jedynie przy zbiegu z ulicą Kilińskiego, wlokło się ostatkiem sił na kolanach, na czworakach, jak któryś mógł - kilkunastu rannych. Byłam tak zaszokowana i oślepiała, że nie przyszło mi do głowy, aby któremu z nich przyjść z pomocą. Zresztą po co? Każdego, tak czy inaczej osiągnie niemiecka kula.

Cały czas usiłowałam wyobrazić sobie jak było tam, na pierwszym piętrze. Co stało się z naszymi kolegami: "Stasiukiem", "Robertem" i "Klechę"? Zginęli od razu, czy może ranni jeszcze raz, konając teraz w męce. Nie mogłam darować sobie, że nie było nas przy nich w tym tragicznym momencie. Ratowałyśmy chłopców od "Gustawa" nie wiedząc przecież, że Niemcy przystąpili do likwidacji szpitala na Długiej 7.

Pierwszy ocknął się z odrętwienia o. Tomasz. Widząc wyciągnięte w błagalnym geście ręce, pospieszył z pomocą rannemu. W tej samej niemal chwili z jakiejś bramy przy ul. Podwałej wybiegł starszy mężczyzna, niosąc na rękach kilkunastoletnią dziewczynę. Ranna, owinięta tylko w prześcieradło, miała na piersiach zakrwawiony opatrunek. Mężczyzna, zapewne ojciec, dźwigał ją z wielkim wysiłkiem, wreszcie posadził na kupie gruzu, rozglądając się wokół z rozpaczą. Basia podbiegła do nich, a ja wciąż stałam na środku jezdni, nie mogąc podjąć żadnej decyzji. Po chwili wolno podążyłam za nimi. Uszłam zaledwie parę metrów, kiedy w bramie domu ukazała się kobieta z małą 3-4 letnią dziewczynką na rękach. Dopadła do mnie i wpychając mi dziecko w ręce zawołała - Niech pani idzie z nią na plac Zamkowy. Ja was dogonię - po czym szybko zawróciła do mieszkania. Stałam zaskoczona, trzymając dziewczynkę w wyciągniętych rękach. Podniosłam ją do góry i dopiero wtedy zauważyłam, że mała ma amputowaną rączkę. Patrzyłam z przerażeniem na czerwono-fioletowy świeżo zagojony kikut i odruchowo przytuliłam dziecko do siebie. Mała objęła mnie za szyję i powędrowaliśmy dalej.

Na pytania

- Czy to była twoja mama?

- Jak się nazywasz?

dziewczynka wogóle nie reagowała. Mocno przytulona do mnie, patrzyła wokoło przerażonymi oczyma, nie wykonując najmniejszego ruchu.

Znowu wróciłam myślami do naszych kolegów i do rannych harcerzy, od "Gustawa", których pozostawiłyśmy na podwórzu oraz w bramie Kilińskiego 1. Wiedziałam już, jaki los ich spotka. Czy któryś zdoła się uratować? Wszyscy przecież byli ciężko ranni i nie mogli poruszać się o własnych siłach.

Pogrążona w myślach nawet nie zauważyłam, że zbliżyłyśmy się do ~~sporej~~ sporej kolumny ludności cywilnej, którą Niemcy prowadzili Podwałej na plac Zamkowy. Wtem moją uwagę zwrócił jakiś dziwny ruch pomiędzy uchodźcami. Dwóch mężczyzn idących z tyłu,

Ih-u

rzuciła się pospiesznie ku przodowi i znikło pośród kobiet, mimo że jeden z nich był bardzo wysoki. Spojrzałam w lewo i od razu wszystko stało się jasne - u wylotu poprzecznej ulicy stało dwóch młodych Niemców. Spoczone, czerwone twarze, hełmy głęboko nasunięte na oczy, w rękach pistolety maszynowe. Z głębi ulicy zbliżał się trzeci. A dalej, pod ścianą domów - trupy. To ci, którzy nie nadążali w marszu - ci, którzy wyglądali na powstańców, znaleźli śmierć z ręki niemieckich oprawców.

Wyszliśmy wreszcie na plac Zamkowy. Po lewej stronie zwalonej kolumny Zygmunta stał ogromny tłum, a dookoła uganiał kilkunastu Niemców i Wiasowców.

Staliśmy ciasno ścioczeni w szeregach, czekając aż Niemcy uformują oddziały do dalszego marszu. Grupy te kierowali w ulicę Mariensztat. W pewnym momencie przez szeregi popłynął szept: - Złoto, chowajcie złoto! Zabierają! -

Słowa te wydały mi się profanacją. Złoto! Coż warte jest złoto wobec tego, co stało się na Długiej 7, co działo się na każdej uliczce Starego Miasta? Jak ci ludzie mogą w takiej chwili myśleć o złocie?

Poczułam się obca i całkowicie samotna wśród tego tłumy. Gdzie podziała się Basia i o. Rostworowski? Przecież szli zaraz za mną dźwigając rannych. A co pocznę z tą małą dziewczynką? Jak odnaleźć jej matkę?

Cofnęłam się do tyłu i zaczęłam przeciskać się przez szeregi, rozglądając się na wszystkie strony i jednocześnie obserwując Niemców, czy aby nie widzą zamieszania jakie wywołuję. Niestety, Basia nie było nigdzie, natomiast wysoka, ciemnowłosa kobieta zabrała ode mnie dziewczynkę. Mała wyciągnęła do niej rączkę, więc zapewne był to ktoś z jej rodziny.

Zadowolona, że odzyskałam swobodę działania, tym energiczniej przesuwiałam się wśród tłumy, lecz Basia nie mogłam dostrzec. A co stało się z Wisią i Ikarą? Przecież Ikar renny w obie nogi, oparty jedną ręką o Wisię, a drugą wspierający się na szczołce od zamiatania, napewno daleko nie zaszedł. Przesunęłam się na czoło kolumny i już za chwilę maszerowałam opadającą ku Wiśle ulicą Mariensztat.

Na skarpie, pod murem kościoła św. Anny, na krawężniku ulicy, pojedynczo i grupami siedzieli ranni. Całkowicie wyczerpani długotrwałym przebywaniem w piwnicach, głodni, po wyjściu na powietrze szybko stracili niewielki zapas sił. Kompletnie zrezygnowani, nie próbowali nawet prosić o pomoc.

Wisię i "Ikara" zobaczyłam już z daleka. Siedzieli po lewej stronie ulicy na gruzach jakiegoś rozwalonego domku czy budki, w miejscu gdzie Mariensztat zatacza łuk w prawo. Usiadłam koło nich i po chwili milczenia, opowiedziałam w kilku słowach, co zaszło w szpitalu po ich wyjściu. Spojrzawszy na "Ikara" zorientowałam się od razu, że osłabi całkowicie i o dalszym, samodzielnym marszu nie ma mowy.

Podniosłam głowę i na wprost, na górze, dostrzegłam kilku Niemców, jak z pistoletami w rękach i miotaczem płomieni szybko zmierzali ku grupie rannych. Zerwałam się wołając:

- Musimy iść, natychmiast musimy iść! -

"Ikar" zerwał się również, chwycił szczotkę jak szczudło, drugą ręką oparł się o Wisię, zrobił kilka kroków - i stanął. Blady, z twarzą skurczoną bólem wyszeptał:

- Nie pójdę dalej. Nie mogę -

Rozejrzałam się wokół bezradnie. Żeby jakieś nosze, albo chociaż kij. Z mego białego kitle, w który byłam ubrana, szczotki i kija możnaby zrobić prymitywne nosze. Ale skąd wziąć kij?

Zacząłam penetrować rumowisko, lecz wszystko było dokładnie pogruchtane. Popatrzyłam znowu ku górze i widok płomieni zdopinguwał mnie do szybkiego działania.

- Jurek, wezmę cię "na barana", nie ma innego wyjścia. -

Ikar patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ależ Janeczko, nie dasz rady. -

- Co mam nie dać rady. Jestem silna. -

mówiłam głosem szorstkim i rozkazującym, co mnie samą miało utwierdzić w przekonaniu, że zadanie jest dziecinnie łatwe.

Chwyciłam Ikara za ręce i usiłowałam zarzucić na plecy, a Wisia z całej siły pchała go do góry. Kiedy jednak chciałam podtrzymać go za obandażowane uda - Ikar jęknął. Trzymając go za ręce zrobiłam kilka kroków. Nogi Ikara wlokły się po bruku, a ja zgięta upułam, nie mogłam chwycić oddechu.

- Nie, nic z tego nie wyjdzie. W ten sposób daleko nie zajdziemy.

Muszę cię trzymać za nogi, chociaż będzie bolało. Musimy natychmiast stąd iść. -

Ikar już nie protestował. Objął mnie za szyję, ja rękami chwyciłam go za uda i wolniutko ruszyliśmy naprzód.

Te pierwsze kroki były bardzo ciężkie. Nie mogłam złapać rytmicznego oddechu, dusiłam się. Stopniowo jednak szło mi się coraz lepiej. Mimo ogromnego ciężaru, pewnie posuwaliśmy się dalej. Tak dobrnęliśmy do ulicy Bednarskiej, która stromo pięła się do Krakowskiego Przedmieścia.

Krotki odpoczynek i dysząc jak miech kowalski, zaczęłam pokonywać wzniesienie.

Szłam zakosami od krawężnika do krawężnika, zawadzając o ludzi, którzy żółwim tempem sunęli ulicą. Jurek zsuwał mi się z ramion i dusił w szyję, słońce prażyło niemiłosiernie, pot zalewał oczy. W połowie ulicy dostrzegłam panią Faryaszewską, jak utykając, z zabandażowaną nogą, przygarbiona, z chlebakiem przewieszonym przez ramię, z wielkim wysiłkiem szła pod górę. Wreszcie koniec męczarni - dobrnęliśmy do Krakowskiego. Jeszcze kawałek drogi, ale już po równym asfalcie i z wielką ulgą podadziłam Ikarowi na krawężniku, za pomnikiem Mickiewicza, a sama oparłam się o ogrodzenie, aby wydyszeć zmęczenie.

Na tyłach pomnika i na placyku przed kościołem Karmelitów było pełno ludzi, a z dołu ciągle jeszcze przybywały małe grupki. Niemcy kręcili się nerwowo, formowali niewielkie kolumny i pod ich osłoną /był obstrzał powstańczy/, przechodzili Krakowskie Przedmieście, kierując się w stronę na Plac Saski. Z kościoła Karmelitów, który był zamieniony na szpital, wyszły dwie pielęgniarki. Przeciskając się wśród tłumu informowały, że ranni oraz osoby, którym brak sił uniemożliwia dalszą marszrutę mogą pozostać w szpitalu.

- Chcesz zostać ? -

zapytałam Jurka. Ikar nie odpowiadał, ale przecież w tej chwili znów pomyśleliśmy o szpitalu na Długiej 7. Nie wierzyłam już nikomu.

- Jeżeli chcesz iść z nami, to ja jeszcze mam siły, poniosę cię.- Ikar ucieszył się.

- Oczywiście, z wami -

Czekałam dłuższy czas, aby nabrac sił, wreszcie przy pomocy wisi załadowałam Jurka na plecy i samotnie, tylko we troje, poszliśmy dalej. Na Placu Saskim kręciło się wielu Niemców, ale nikt nas nie zaczepił. Weszliśmy do ogrodu Saskiego. Zieleń drzew i trawy, cisza, ani jednego człowieka w zasięgu mego wzroku - to miejsce wydało mi się oazą spokoju. Jak dobrze było iść alejką w cieniu drzew, wycychając świeże, czyste powietrze.

Właśnie rozglądałam się gdzieby tu zatrzymać się na odpoczynek, kiedy za zakrętem ścieżki ujrzałam grupę niemieckich oficerów. Stali na trawniku po lewej stronie alejki, którą w pewnej odległości przed nami, trzymając się pod ręce, dreptało troje staruszków. Były to dwie staruszczyki w długich, czarnych sukniach, a między nimi staruszek, którego białe włosy świeciły z daleka jasną plamą.

Kiedy starszankowie zbliżyli się do oficerów, jeden z nich podszedł do nich i rozkładając szeroko ręce zaczął spychać ich na trawnik. Patrzyłam zaintrygowana, starszankowie również nie wiedzieli o co Niemcowi chodzi. Zbili się w gromadkę, dreptali w miejscu, wreszcie jednak usunęli się na prawą stronę alejki. Oficer wyciągnął rewolwer i za chwilę trzy ciała osunęły się na trawnik. Żadnego krzyku czy jęku - tylko trzy suche strzały. Niemiec obrócił się teraz w naszą stronę. Wciąż trzymając rewolwer i lekko nim kołysząc - patrzył na nas.

Poczułam, że cała krew opływa mi z serca, nie mogłam oderwać nog od ziemi. Czy to koniec ?

Nie było czasu na rozumowania. Zadziałał instynkt. Zebrałam siły, podrzuciłam Jurka do góry na ramiona i maszerując jak na paradzie, zbliżałam się do Niemców, demonstrując swoje możliwości.

Oficerowie z lewej strony alejki, wszyscy odwrócili się ku nam, mówiąc coś głośno między sobą i pokrzykując do oficera-mordercy, który ciągle jeszcze z rewolwerem w dłoni, stał po prawej stronie dróżki czekając na nas. Kołysząc z uznaniem głową zawołał coś do mnie. Ze zdenerwowania i wysiłku nie rozumiałam ani słowa. Kiedy zrównałam się z nim, zaczęłam głośno mówić do Ikara, coś zupełnie bez sensu, chcąc tylko pokazać, że się nie boimy. Mijając Niemca myślałam szybko: strzeli - czy nie ? Zabije nas oboje - czy tylko Ikara ?

Czułam dosłownie każdy milimetr skóry na plecach, oczekując w napięciu kiedy padną strzały.

Wciąż pewnym krokiem oddalaliśmy się od Niemców. Nikt nie strzelał. Wreszcie zasłoniły nas drzewa. Poczułam straszne zmęczenie. Powinnam posadzić Jurka i odpocząć, ale obawiałam się, że znowu natknęmy się na Niemców.

Zbliżaliśmy się do bramy ogrodu, od strony Żelaznej Bramy. Przed bramą znowu zauważyłam hitlerowców - tym razem żołnierzy. Obserwowałam ich pilnie, gdyż spostrzegłszy nas obrócili się z zainteresowaniem w naszą stronę, a jeden z nich zaczął wykonywać jakieś podejrzane ruchy. Za chwilę dojrzałam, że żołnierz wyciągnął aparat fotograficzny i pochylony czekał, aż "wejdziemy" mu w obiektyw. Potem jeszcze zdjęcie z profilu - i wyszliśmy na ulicę Elektoralną.

Całą jezdnię zajmował gęsty tłum. Patrzyłam przerażona. Jak tu iść w tej ciżbie ? Jurak zawadzał nogami o najbliższą idących, wlekliśmy się ślimaczym tempem, nie było żadnej możliwości wypochnięcia, a ja przecież niosłam Ikara bez zatrzymywania się, aż od kościoła Karmelitów.

I/A-8

Popuchnięte dłonie otwierają się bez mojej woli. Zgięte w łokciach ręce - prostują się. Przeworsowane mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. Jurek, aby nie zsunąć się na ziemię, kurczowo zaciska mi ręce na szyi. Chwilami chyba traci przytomność z bólu i upału, gdyż jego głowa opada bezwładnie. Proszę Wisię, aby podtrzymywała go od tyłu, zawijam kitel usiłując w ten sposób odciążyć ręce, ale to wszystko nic nie pomaga. Muszę odpocząć, za wszelką cenę odpocząć.

Co chwila kolumna zatrzymuje się, potem peźnie powolutku naprzód. Idą ze zwieszoną głową, z wielkim wysiłkiem, ale mimo to nieustannie obserwują Niemców, którzy nas eskortują, aby w razie czego - odpowiednio zadziałać.

Słowo "Freulein" wypowiedziane tuż za mną, działa jak wystrzał. Obracam się natychmiast i widzę obok siebie starszego Niemca. Przygląda mi się badawczo i pyta:

- Kim jest dla pani ten młody człowiek, którego pani niesie ?

Zaskoczona zweekam z odpowiedzią, więc Niemiec pyta dalej:

- Czy to pani narzeczony, a może ktoś z rodziny ? -

- Nie, to mój kolega -

odpowiadam.

- Ach tak - kolega -
powtarza i zostaje w tłumie.

- Filozof, cholera ! -

klną półgłosem podenerwowana niespodziewanym zejściem, ale przecież w oczach tego człowieka, oprócz zwykłej ciekawości, dostrzegłam szczere współczucie.

Ulica Chłodna. Tu utknęliśmy na dobre w zwartym tłumie, przez który usiłują przecisnąć się ciężarówki. Na dwóch samochodach widzę sanitariuszki z opaskami Czerwonego Krzyża. Staram oowiedzieć się od nich dokąd nas prowadzą, ale nie słyszymy się wzajemnie wśród warkotu silników i hałasu.

Niemcy dosłownie szaleją, usiłując za wszelką cenę oswobodzić środek jezdni i zlikwidować zator. Zatrzymujemy się wreszcie przed jakimś kościołem. Zsuwam Jurka z pleców i tak stoimy przez dłuższą chwilę w trojkę, opierając się wzajemnie o siebie i podtrzymując rannego.

Niemcy kierują teraz ludzi na teren kościoła. Wszystko to zaczyna mi się nie podobać. Jakieś przeczucie mówi mi, żeby skorzystać z okazji i dołączyć do kolumny, która szybko maszeruje naprzód. Stopniowo robi się coraz luzniej. Przesuwam się teraz na lewą stronę, gdyż w ten sposób nie zawadzam nogami Jurka o sąsiadów z szeregu.

Tempo marszu słabnie., idziemy coraz wolniej, wreszcie nadchodzi chwila upragnionego odpoczynku.

Ludzie siedzą na jezdni i na krawężnikach. Ja także sadzam Jurka na ziemi i obrociwszy się ku tyłowi obserwuję miasto. Wokół widzę tylko ruiny i zgliszcza. Nie przetrwał ani jeden dom. W górę wzbija się eskadra samolotów, zatacza efektowny łuk i bijąc w słońcu pikuje nad zasnutym dymami miastem. Detonacji nie słychać. Gdzie to może być? - zastanawiam się. Nagle, przeraźliwe wycie podrywa wiele osób na nogi. Niemcy śmieją się. To "szafy" - już dla nas niegroźne - z szumem i piskielnym zgrzytem strzelają gdzieś w ruinach.

Dopiero teraz patrząc z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, że Warszawa przestała istnieć. Staram się utrwalic sobie ten obraz, gdyż wiem, że nawet jeśli tu jeszcze wrocę, to nigdy już nie zobaczę Warszawy z czasów mojej młodości, mojego drogiego, rodzinnego miasta. Tyle ofiar, tyle krwi, cierpienia i bólu, ci wynędzniali ludzie z resztkami dobytku na plecach, zburzone miasto oto rezultat naszej walki.

Z ciężkim sercem, z oczami pełnymi łez ruszam dalej. Idziemy w milczeniu, co najwyżej od czasu do czasu wołam do Jurka, który słabnie i osuwając się dławi mnie rękami za gardło, aby opierał się o moje ramiona. I on, i ja jesteśmy już strasznie wyczerpani. Na domiar złego - ten potworny upał. Gardło mam kompletnie wysuszone, pokryte jakimś gorzkim nalotem, język jak kawał drewna, usta zeschnięte i popękane.

Obok nas idzie kobieta z małym chłopcem. Na plecach dzwiga duży tobeł, a drugą ręką ciągnie za sobą dziecko. Chłopiec ubrany w ciepłe pałto, zmęczony i spocony, potyka się co chwilę i bezustannie jęczy:

- Pić, mamę pić! -

- Żeby choć szklanek wody -
wzdycha kobieta.

- Poszłabym do Niemców po wodę, ale nie mam żadnego naczynia -

- Ja mam litrową butelkę w tłumoku -

Na najbliższym postoju biegnę po wodę. Wzdłuż całej Chłodnej, przed bramami wypalonych lub zrujnowanych domów, siedzą Niemcy. Powynosili fotele, kanapy i stoły. Siedzą rozparci popijając oranżadę, palą papierosy i obserwują tłum pilnując, aby komuś nie przyszło do głowy ukryć się w ruinach. Korowód nieszczęśliwych, częstokroć rannych ludzi, wypędzonych z własnego miasta, pozostawiających za sobą trupy najbliższych i spalone domy - nie

wywołuje u nich żadnego współczucia. Przeciwnie, śmieją się i dowcipkując wskazują rękami niektóre osoby z szeregu. Widok nieszczęścia spowszedniał im już.

Kiedy zwracam się z prośbą o wodę, żołnierze zaczynają żartować, pytają kto mi podbił oczy, proponują abym z nimi została. Jeden z nich bierze jedbak butelkę i niknie w bramie. Denerwuję się bardzo, bo kolumna zaraz może ruszyć dalej i co wówczas będzie z Jurkiem? Obejrzałam się nerwowo za siebie, machnąłam ręką i złota bransoletka, którą dano mi w domu "na wszelki wypadek", zsunęła się na przegub ręki. Jeden z Niemców dostrzega ją ~~skryty~~ i chwyciłszy mnie za rękę ciągnie do siebie. Opar nic tu nie pomoże, udaję że idę potulnie za nim, śmieją się nawet, aż jednym nagłym szarpnięciem uwalniam dłoń. Właśnie w bramie ukazuje się żołnierz z pełną butelką, chwytam ją w locie i wybiegam na ulicę. Niemcy wybuchają śmiechem szydząc z kolegi, ale ja już jestem daleko.

Tu zewsząd wyciąga się do mnie kilkadziesiąt rąk.

- Wody, wody ! Chociaż łyżek ! -

Przytulam butelkę do siebie i opędzając się docieram do swoich. Najpierw pije chłopiec, potem Jurek, Wisia, kobiety i wreszcie ja. Trzymam butelkę do góry dnem i łapczywie zlizuję każdą kroplę. Tylko w takiej chwili jak ta, można ocenić czym jest woda.

Znowu maszerujemy naprzód. Obok nas często przebiega młody, wysoki Niemiec. Jest to zapewne czeski Volksdeutsch, bo ciągle coś mówi do idących zabawnym dialektem, mieszając słowa niemieckie i czeskie. Właśnie zrownał się ze mną i mówi:

- Ja ciebie obserwuję już dłuższy czas. Ależ ty masz siłę !
Taki kawał drogi niesiesz tego rannego. Na pewno jesteś sportsmenką ! -

- Nie, nie jestem sportsmenką, a szasie wojny nie miałam możliwości uprawiania sportu, ale w szkole miałam niezłe wyniki. -
Podtrzymuję rozmowę, mimo że mnie ona bardzo męczy, ale z tylnych szeregów dochodzą nas jakieś rozpaczliwe kobiece krzyki.

- Szkoda, wielka szkoda, bo z taką siłą i wytrwałością na pewno znalazłabyś się na olimpiadzie. -

Domyślamy się co oznaczają te krzyki i wołania o ratunek.

Wisia chwyta mnie pod rękę pozorując, że pomaga nieść rannego i z przerażeniem ogląda się do tyłu.

- Co tam się dzieje ? -

pytam Niemca.

- Ach, to ci przekłęci "Russen". Nie bujcie się, jak ja tu jestem, to oni się nie zbliżą. Teraz muszę iść do przodu, ale uważajcie i w razie czego - uciekajcie do mnie.

No tak - łatwo powiedzieć "uciekajcie". Krzyki na szczęście cichną i w milczeniu ludzie brną dalej.

Jestem już tak zmęczona, że przestaję zwracać uwagę na cokolwiek. Nie obserwuję ani Niemców, ani sąsiadów, nie patrzę na mijane ruiny i ulice. To przecież już Wolska. Toczę teraz walkę z własną słabością. Wytrwać, za wszelką cenę wytrwać. Niosłam go taki kawał drogi, nie zostawię teraz na pastwę mordercom. Siły opuszczają mnie gwałtownie. Rozglądam się rozpaczliwie po idących obok mnie, ale nie ma się co ludzić. Nikt nam nie pomoże. Ci ludzie sami wloką się resztkami sił. Mimo, że kolumna maszeruje dalej, przystaję aby odpocząć. Sadzam Jurka na krawężniku, a sama obserwuję idących.

Nagle dostrzegam wózek, prawdziwy wózek na 2-ach kołach, pełen rannych, który popycha ze dyszel krępy, atletycznie zbudowany mężczyzna. Wózek toczy się środkiem tłumu, za nim tworzy się pusta przestrzeń. Z szeregu wyrywa się mała staruszcza, z wysiłkiem dogania jadących i błaga:

- Zabierzcie mnie, nie mogę iść ! -

Siedzący na wozku ranni, stłoczeni wprost jeden na drugim, nie odpowiadają, odwracają głowy, zdawałoby się, że nie dostrzegli starowinki. Wobec ich oporu, staruszka usiłuje zatrzymać mężczyznę. Wózek oddala się, a ona pozostaje na środku jezdni z wyciągniętą ręką, mijana obojętnie przez idących.

- Jej nie wzięli, ale Jurka muszą wziąć -

mówię głośno do siebie. Chwytałem rannego na plecy i najszybciej jak tylko mogę, zbliżam się do wózka. Już zrównałam się z mężczyzną, teraz podchodzę do jadących.

- Posuńcie się! Weźcie go chociaż na parę minut.

Ja muszę odpocząć! -

Chłopcy nie odzywają się, ale ja nie ustępuję, idąc wciąż obok nich.

- No posuńcie się przecież ! -

woła wreszcie któryś z nich. Nie czekam co powiedzą inni i ładuję Jurka na wózek. Tak, to był ostatni moment. Nogi chwieją się pod mną, w oczach migają czarne koła. Kurczowo trzymam się desek aby nie upaść. Powoli kryzys mija i razem z mężczyzną i Wisią toczymy wehikuł z rannymi.

Skrećemy w boczną ulicę. Wózek zatacza szeroki łuk i staje na środku zakrętu. Ulica wybrukowana jest "kocimi łbami", tu nasze siły nie wystarczają tym bardziej, że znika mężczyzna, który z takim poświęceniem wioził rannych przez całą drogę.

JH-A2

Stoimy bezradnie, próbując zatrzymać mijających nas ludzi, ale nikt nie słucha naszych prozb. Omijają nas z daleka, nawet nie patrząc na wozek z rannymi. Dostrzegł nas natomiast któryś z Niemców. Pędzi w naszym kierunku wrzeszcząc z daleka:

- Dlaczego stoicie na środku ?

Dlaczego tamujecie ruch ? -

Wskazują ręką na kamienie i mówią:

- Nie damy rady, nie mamy tyle sił -

Niemiec robi się purpurowy z wściekłości.

- To świństwo! To świństwo, aby dwie dziewczyny pchały tylu rannych ! -

Gdzie są mężczyźni ? -

Właśnie mija nas chytkiem jakiś jegomość z wielkim tobołem na plecach. Niemiec przyskakuje do niego, zrywa mu toboł z pleców, odrzuca na pobocze, a właściciela pchnięciem w kark kieruje do dyszla. Momentalnie mamy kilku pomocników i prawie bez naszej pomocy ranni jadą dalej.

Tu miasto się kończy. Domy są coraz rzadsze, bruk urywa się i koła wozka grzęzną w głębokim piachu. Jazda skończona. Ranni gramolą się jak który może, ja znowu biorę Jurka "na be-rana" i maszerujemy teraz pełną gębą. Ludzie idą luznym szeregiem, Niemców straciłam z oczu. Dochodzimy do pola pomidorów. Przy drodze krzaczki są zupełnie zdeptane, ale dalej może jeszcze coś się znajdzie? Siedzam Jurka na piasku i biegnę wraz z kilkoma innymi osobami. Udało mi się zerwać parę małych, zielonych pomidorów, które żują łapczywie, wysysając sok. Nagle za nami rozlegają się krzyki:

- Wracajcie, Niemcy strzelają ! -

Biorę Ikara na plecy i maszerujemy teraz w kierunku wagonów kolejowych, które stoją na torach w szczerym polu. Właśnie przed chwilą ojechał pociąg, więc ludzi zbiera się niewielu, sami z ulgą wsiadają do przedpotopowych wagonów i rozkładają się na ławkach.

Usadzenie Jurka do wagonu sprawia nam wiele kłopotu, gdyż nasyp jest uprzednio niewysoki, ale nie ma rampy.

Po wielu wysiłkach wdrapujemy się nareszcie, układamy Ikara na ławce, Wisia lokuje się obok niego, a ja siadam na stopniach wejścia i obserwuję napływających ludzi. Może dojrzę wśród nich Basię lub ojca Rostworowskiego?

Dzień ma się ku końcowi. Słońce zeszło właśnie, a nad rozciągającymi się przede mną łąkami, tworzy się opar. Widok ten działa kojąco. Tak tu cicho i spokojnie. Powoli uspakajam się i wypoczywam.

Zapada zmrok. Trzeba wracać do wagonu, bo jest coraz chłodniej. Przedziały zapełniły się już. Jurek musiał się podnieść, siadam więc koło niego i przytulamy się we troje do siebie, bustrzającą nami dreszcze.

Wszyscy jesteśmy bardzo lekko ubrani. Ja mam na sobie męską koszulę ze Stawek, spodnicę Basi z wielką dziurą nad kolanem, krótki biały kitel, a na gołych nogach pułbuty mocno "sfatygowane" chodzeniem po gruzach. Z żalem wspominam moją "panterkę", którą przed wejściem Niemców na Stare Miasto wyrzuciłam w gruzy. Taka była ciepła i wygodna! Można w niej było spać na gołych kamieniach.

Zjawiają się Niemcy i kolejarze. Pociąg rusza. Podróż trwa długo. Zatrzymujemy się kilka razy w polu, wreszcie wysiadamy. W ciemnościach z trudem różniemy kontury jakiś wielkich hal fabrycznych. Stoimy koło płotu, nie wiedząc co z sobą począć. Zjawiają się miejscowi młodzi ludzie, którzy objaśniają nam, że jesteśmy w Pruszkowie, na terenie obozu przejściowego, mieszczącego się w halach warsztatów kolejowych. Rannych podwozi woz konny, ale właśnie niedawno odjechał.

Po raz ostatni biorę Jurka "na barana" i idziemy przed siebie. Dostrzegam szeroko otwarte wejście do jakiegoś budynku, więc bez namysłu wchodzę do środka. W pomieszczeniu panują ciemności i przejmujący chłód. Wydaje się zupełnie puste. Ktoś zapala ogarek świecy, inny zapałkę i w tym nikiłym świetle dostrzegam pod ścianami skulone postacie. Odnajdujemy p. Faryaszewską, rannego kolegę Jurka - Leszka /który jechał na wozku/ i wszyscy razem przysiadamy pod ścianą.

Po chwili zęby zaczynają nam szczełkać z zimna i zmęczenia. Ciało ogarnia lodowaty chłód. Jak przetrwać tę noc? Przypominam sobie, że przy wejściu do hali leżały płyty wiorowe. Zawaze lepsze to niż wilgotny beton. Idziemy z Wisią na poszukiwania. Dźwigamy właśnie płytę "na posłanie", gdy nagle wpauwa się mi ona z przemęczonych rąk. Z głośnym okrzykiem i śmiechem odskakuję do tyłu, aby nie spadła mi na nogi. W tej chwili słyszę za sobą okrzyk radości. Ktoś zarzuca mi ręce na szyję. To Basia! Nareszcie znaleźliśmy się! Całujemy się i cieszymy niezmiernie. O ile łatwiej znosić niedolę wraz z przyjacielem, a Basia to wspaniały człowiek, najofiarniejsza z ofiarnych, bezgranicznie dobra i serdeczna.

Ucieszone spotkaniem, wspólnie przygotowujemy legowisko z płyt i układamy się pokotem, ciasno, jedno przy drugim, aby ochronić się przed zimnem. Ktoś, bodajże Leszek, ma kurtkę, którą w 6-kę

JA - 14

nakrywamy się z wierzchu. Nakrycie to przesuwają się bezustannie, ponieważ w polanie, każdy ciągnie je w swoją stronę. Wreszcie zapadamy w kamienny sen.

Przebudzenie nie jest przyjemne. Jestem tak zeszywniała i obolała, że nie mogę ponieść się o własnych siłach. Basia pomaga mi stanąć na nogi. Odrazu jednak przystępujemy do działania kombinując, jak tu wydostać się z obozu. Po paru godzinach zbierania informacji i rozmów, mamy już pewne osiągnięcia. Jurek i Leszek jako ranni, zostali zapisani na listę i pojedą do szpitala pod Warszawę. Pojedzie z nimi również Wisia, najsłabsza fizycznie z naszej trójki. Ubiorem Wisię w swój biały kitel i przy wydatnej pomocy uczynnych polskich pielęgniarek - zapisujemy ją jako sanitariuszkę, aby mogła towarzyszyć obu rannym,

Po serdecznym pożegnaniu, Wisia, Jurek i Leszek odjeżdżają do szpitala, a my z Basią wyruszamy na zwiedzanie obozu.

Jesteśmy potwornie głodne. Głód dosłownie skręca nam kiszkę. Gdzieby tu dostać coś do zjedzenia, zastanawiamy się wspólnie. Jakoś niepostrzeżenie znaleźliśmy się pod barakiem kuchennym. Z okna wychyla się puciołowata słowiańska twarz. Rosjanin rozgląda się bacznie dookoła, a potem pyta:

- Dzieuszki, a supu chatitie? -

Ktożby nie chciał zupy! Jesteśmy zachwycone propozycją, okazuje się jednak, że kuchcik nie może nam dać żadnego naczynia. Gdzieby tu zdobyć jakąś miskę lub garnuszek?

W obozie garnuszek, łyżka, miska, to drogocenne przedmioty, których strzeże się jak oka w głowie. Nie ma więc nadziei, aby ktoś zechciał nam je wypożyczyć. Zmartwiłone idziemy właśnie koło ogromnych dołów kloacznych, nad którymi leżą oparte na krzyżakach długie drągi, chroniące przed utonięciem w nieczystościach, kiedy dostrzegamy zagrzebaną w piasku puszkę po konserwach. Puszka jest zupełnie zardzewiała i zgięta z jednej strony, bo pewnie ją ktoś przydeptał. Podnosimy ją, oglądamy przez chwilę ze wstrętem, ale potem zapewniając się wzajemnie że jest przecież jeszcze zupełnie dobra, a co najważniejsze - duża, biegniemy pod kran, aby ją nieco odszorować piachem. Nasze starania nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Puszka jest tak przeżarta rdzą, że prędzej zrobimy w niej dziurę niż ją odmyjemy.

- Jest już przecież czyste -

umawiamy sobie i biegniemy po zupę. Kuchcik dotrzymuje słowa, pyta tylko czy w pobliżu nie widać "germańca", a potem nalewa

aż po wręby wspaniałej, pomidorowej zupy. Pijemy najpierw płyn podając sobie naczynie z rąk do rąk, potem palcami wyciągamy rurki makaronu. To było wspaniałe! Zaspokoiliśmy nieco głód, podniesione na duchu, wracamy do naszej hali.

Właśnie ma się odbyć przegląd lekarski. Ludzie ustawiają się w długą kolumnę. Niemiecki lekarz w mundurze wraz z polskim personelem rozdzielają przesuwającą się do przodu kolejkę na dwa nurty: na prawo i na lewo. My trafiamy na prawo, do starców, chorych i rannych. Basia podaje się za chorą na gruzlicę, ja mam górną część twarzy siną i zieloną, białka oczu natomiast zupełnie czerwona, gdyż od wybuchu popękały mi w oczach naczynia krwionośne. Przeżycia ostatnich dni sprawiły, że obie wyglądamy niesamowicie. Wraz z p.faryaszewską skierowane zostajemy do sali na pierwszym piętrze, gdzie mamy oczekiwać na transport do Szymanowa.

Panią Faryaszewską widywałam kilkakrotnie na Starym Mieście, ale poznałam ją dopiero poprzedniego dnia, w piwnicy na Kilińskiego 1, gdzie zastałyśmy ją dyżurującą przy rannej, przyjaciółce jej córki Ewy. Ewa Faryaszewska wraz z ową koleżanką i jej mężem, zabezpieczali staromiejskie zabytki /Kazimiera i Leszek Świderscy/. Eksplodujący granat zabił Ewę, męża koleżanki, a ją samą ciężko ranił. Pani Faryaszewska również ranna w nogę, zabezpiekowałam się dziewczyną i pozostała z nią w naszym szpitaliku, a potem towarzyszyła jej na Długiej 7.

Spotkana ponownie w Pruszkowie, p.faryaszewska okazała nam wiele serca. Kiedy zostałyśmy tylko we trzy, podała nam adres swoich krewnych p.Grochowskich, zamieszkałych w Pruszkowie przy ul. Drzymały 4, a potem wyciągnęła pieniądze i wręczyła każdej z nas po 500.- zł, abyśmy miały na najpilniejsze wydatki. Później, przez cały czas naszego pobytu w obozie we Wrocławiu, utrzymywała z nami kontakt, pisząc karty, podtrzymując nas na duchu i przysyłając paczki, mimo że sama była w ciężkich warunkach materialnych, a ponadto miała kłopoty z nogą, którą trzeba było operować. Jej też w dużej mierze zawdzięczamy powodzenie naszej ucieczki z obozu we Wrocławiu, ponieważ podała nam adresy swojej rodziny w Sosnowcu i Krakowie, która nam w tej ucieczce okazała wiele pomocy.

P.Faryaszewska została przez komisję zapisana na wyjazd na teren G.G. My z Basią oczekiwałyśmy na opuszczenie obozu w Pruszkowie przez wiele godzin. Było już późne popołudnie, kiedy kazano nam ustawić się w kolumnę. Niestety, w tym momencie rozpadł się

potworny deszcz. Woda ciekła strumieniami, jakby ją ktoś wylewał wiadrem na nasze biedna głowy. Przemoczone do gołej skóry, stałyśmy przed halą, tuląc głowy w ramionach, jednakże na widok ojca i syna trzymających nad głowami miednice - ojciec dużą, a syn małą - wybuchnęłyśmy niepohamowanym śmiechem.

W końcu zjawiła się siostra z listą i poprowadziła nas do bramy.

Tu nowa trudność - przepuszczono wszystkich za wyjątkiem mnie, gdyż nie miałam Kennkarty /spłonęła wraz z kolegami na Długiej 7/. Basia przyklepiona po drugiej stronie do ogrodzenia dawała mi rozpaczliwe znaki, a ja nie wiedziałam co począć. Po pewnym czasie jednak udało mi się prześlizgnąć przez bramę. Pielęgniarka odprowadziła nas kawał drogi, a potem puściła wolno, ale gdzie tu się podziąć? Zapadał wieczór, byliśmy mokre, zmęczone i zziębnięte. Skierowałyśmy ewa kroki do RGO, gdzie w kącie sali, na siomie, spędziłyśmy tę pierwszą noc na wolności.

Rano przyszła curka p.Grochowskich i zabrała nas do siebie. Patrzyłyśmy zdumione na całe szyby w oknach, stoł nakryty obrusem, noże, widelce, talerze - to był inny świat, który przestał dla nas istnieć zdawało się przed wiekami. Wreszcie mogliśmy się umyc. Przygotowano nam czyste łóżka.

Basia dostała temperatury, więc prędko skorzystała z zaproszenia i położyła się, ja natomiast poczułam się w obowiązku przynieść konewkę wody ze studni, gdyż p.Grochowska zaofiarowała się uprać nam nasze rzeczy. Niestety, siły opuściły mnie i aby nie upaść - przysiadłam na schodach. Za chwilę i ja znalazłam się w łóżku.

Na drugi dzień obudziliśmy się bardzo późno. W czasie śniadania przybiegła sąsiadka z informacją, że Niemcy urządzili łapankę na Warszawiaków, ulice są obstawione i kontrolują dom po domu. My, naprawdę chore, a do tego jeszcze oficjalnie zwolnione z obozu, postanowiłyśmy zaryzykować i pozostać w łóżkach. Zresztą byliśmy tak zgnębione i zrezygnowane, że było nam wszystko jedno, co się z nami stanie.

Kiedy do mieszkania wkroczyli Niemcy, nie pomogły jednak żadne tłumaczenia. Basia miała warszawską Kennkartę, ja nie miałam żadnych dokumentów, a sam nasz wygląd wskazywał skąd przyszłyśmy. Trzeba było wstać, ubrać się i podążyć za Niemcem, który nas oczekiwał.

P.Grochowska zdążyła nas przyodziać w jakieś letnie sukienki, zrobiła zawiniątko z prowiantem. Kiedy znaleźliśmy się w punkcie zbornym, przybiegł jeszcze p.Grochowski i przyniósł mi swoją kurtkę. Niejednokrotnie serdecznie wspominałam go za ten dar,

1/11-12

gdyż kurtka ta stanowiła moją jedyną osłonę przed mrozem, przez całą srogą zimę 1944-45.

Znowu zaprowadzono nas do hal, podzielono na grupy i już nocą załadowano do wagonów towarowych. W naszym wagonie było 40 kobiet w różnym wieku. Na drogę dostałyśmy po bocheneczku chleba i miseczkę marmolady na cały wagon. Drzwi zaryglowano i przy akompaniamencie płaczu i krzyku pociąg ruszył w nieznaną. Na czwarty dzień dojechałyśmy do Wrocławia i wysiadłyśmy na bocznicy "Famo-Werke" Breslau.

Poznań, dnia 27. stycznia 1977r.

J. Gruszczyńska-Jasiak
/Janina Gruszczyńska-Jasiak/

Z prawdziwą satysfakcją uzupełniam nasze relacje stwierdzeniem, że trzem rannym chłopcom od "Gustawa", wyniesionym przez nas z oficyny domu przy ul. Kilińskiego 3, udało się wydostać ze Starego Miasta.

Jeden z nich zmarł w podwarszawskim szpitalu, dwaj pozostali natomiast:

str. Tadeusz Wegner	p.s. "Kruk"
kpr. Andrzej Duma	p.s. "Kresowiak"

żyją do chwili obecnej.

Poznań, dnia 17 lipca 1994r.

Indeks osób występujących w relacji Janiny Gruszczyńskiej -
Jasiak z bat. "Wigry"

1. "Ojciec Tomasz" - ojciec Tomasz Rostworowski
2. "Basia" - Barbara Piotrowska -Gancarczyk ps."Pajak"
3. "Stasiuk" - Stanisław Olejnik
4. "Robert" - Tomasz Russanowski
5. "Klecha" - Tadeusz Suski
6. "Wisia" - Jadwiga Konopacka-Klimaszewska
7. "Ikar", "Jurek" -Jerzy Szymański
8. "Leszek" - NN
9. "Leszek Świdorski
10. Kazimiera Świdorska
11. Irena Paryaszewska



Relacja Janiny Gruszczyńskiej - Jasiak otrzymana od niej
w listopadzie 2000 r. i przekazana dla Fundacji AK
w Toruniu.

16. II. 2000 r. Elżbieta Zawacka

11-gi egzemplarz.



Janina Gruszczyńska-Jasiak
zam. w Poznaniu,
sanitariuszka 2-go plutonu kompanii
szturmowej "WIGRY", ps. "Janka"

Wpłynęło dnia 27 08 2001
nr 2883/486/

3/1-03 3,

Moja relacja przedstawia zdarzenia z dn. 2-go września 1944r. po likwidacji szpitala przy ul. Długiej 7 i jest dalszym ciągiem wspomnień spisanych przez sanitariuszkę Barbarę Gancarczyk, z którą razem pozostałam na Starym Mieście, aby zaopiekować się ciężko rannymi kolegami z naszego batalionu.

- - - - -

Stoimy z Basią na podwórzu szpitala przy ul. Długiej 7. Z rozpaczą wpatrujemy się w okna pierwszego piętra, za którymi znajdują się trzej nasi koledzy. Słychać pojedyncze strzały rewolwerowe. Podoficer Wehrmachtu, którego błagałyśmy o pomoc idzie właśnie ku nam przez podwórze. Unikając naszego wzroku mówi cicho:

- Niestety, tam nie ma po co iść. Jest już za późno -
A więc nie żyją. Nogi uginają się pode mną. Siadam na najbliższym odłamie gruzu i zdaje mi się, że spadam w czarną przepaść. Po chwili zawrót głowy mija. Dostrzegam obok siebie Basię, która stoi wciąż wpatrzona w okna sali na pierwszym piętrze. Na jej brudnej, osmolonej twarzy lży wymywają dwie jasne bruzdy.

Spośród niemieckich żołnierzy wyłania się ojciec Rostworowski. Podnosi drżące ręce czyniąc znak krzyża, udzielając absencji umierającym. Podbiegamy do niego z płaczem, chwytamy za ręce, szukając ratunku i pociechy.

Ojciec Tomasz jest blady jak płótno, drży cały, oczy ma także pełne łez.

- To straszne, to potworne - powtarza ciągle.

Nie ma sensu pozostawać tu dłużej. Bierzymy o. Tomasza pod ręce i szlochając opuszczamy teren szpitala. Wychodzimy na ul. Podwale.

O. Tomasz, Basia i ja byliśmy zapewne ostatnimi Polakami, którzy żywi opuścili szpital przy ul. Długiej 7. Szliśmy teraz wolno obok siebie, w całkowitym milczeniu. Na ul. Podwale nie było już niemieckich żołnierzy, ani mieszkańców Starówki opuszczających z tobołkami swoje domy. Jedynie przy zbiegu z ulicą Kilińskiego, wlokło się ostatkiem sił na kolanach, na czworakach, jak któryś mógł - kilkunastu rannych. Byłam tak zaszokowana i oziębiała, że nie przyszło mi do głowy, aby któremu z nich przyjść z pomocą. Zresztą po co? Każdego, tak czy inaczej dosięgnie niemiecka kula.



Cały czas usiłowałam wyobrazić sobie jak było tam, na pierwszym piętrze. Co stało się z naszymi kolegami: "Stasiukiem", "Robertem" i "Klechę"? Zginęli od razu, czy może ranni jeszcze raz, konają teraz w męce. Nie mogłam darować sobie, że nie było nas przy nich w tym tragicznym momencie. Ratowaliśmy chłopców od "Gustawa" nie wiedząc przecież, że Niemcy przystąpili do likwidacji szpitala na Długiej 7.

Pierwszy ocknął się z odrętwienia o.Tomasz. Widząc wyciągnięte w błagalnym geście ręce, pospieszył z pomocą rannemu. W tej samej niemal chwili z jakiejś bramy przy ul.Podwale wybiegł starszy mężczyzna, niosąc na rękach kilkunastoletnią dziewczynę. Ranna, owinięta tylko w prześcieradło, miała na piersiach zakrwawiony opatrunek. Mężczyzna, zapewne ojciec, dźwigał ją z wielkim wysiłkiem, wreszcie posadził na kupie gruzu, rozglądając się wokół z rozpaczą. Basia podbiegła do nich, a ja wciąż stałam na środku jezdni, nie mogąc podjąć żadnej decyzji. Po chwili wolno podążyłam za nimi. Uszłam zaledwie parę metrów, kiedy w bramie domu ukazała się kobieta z małą 3-4 letnią dziewczynką na rękach. Dopadła do mnie i wpychając mi dziecko w ręce zawołał - Niech pani idzie z nią na plac Zamkowy. Ja was dogonię - po czym szybko zawróciła do mieszkania. Stałam zaskoczona, trzymając dziewczynkę w wyciągniętych rękach. Podniosłam ją do góry i dopiero wtedy zauważyłam, że mała ma amputowaną rączkę. Patrzyłam z przerażeniem na czerwono-fioletowy świeżo zagojony kikut i odruchowo przytuliłam dziecko do siebie. Mała objęła mnie za szyję i powędrowaliśmy dalej.

Na pytania

- Czy to była twoja mama?

- Jak się nazywasz?

dziewczynka wogóle nie reagowała. Mocno przytulona do mnie, patrzyła wokoło przerażonymi oczyma, nie wykonując najmniejszego ruchu.

Znowu wróciłam myślami do naszych kolegów i do rannych harcerzy, od "Gustawa", których pozostawiłyśmy na podwórzu oraz w bramie Kilińskiego 1. Wiedziałam już jaki los ich spotka. Czy któryś zdoła się uratować? Wszyscy przecież byli ciężko ranni i nie mogli poruszać się o własnych siłach.

Pogrążona w myślach nawet nie zauważyłam, że zbliżyliśmy się do ~~sporej~~ sporej kolumny ludności cywilnej, którą Niemcy prowadzili Podwalem na plac Zamkowy. Wtem moją uwagę zwrócił jakiś dziwny ruch pomiędzy uchodźcami. Dwóch mężczyzn idących z tyłu,



rzuciła się pospiesznie ku przodowi i znikło pośród kobiet, mimo że jeden z nich był bardzo wysoki. Spojrzałam w lewo i od razu wszystko stało się jasne - u wylotu poprzecznej ulicy stało dwóch młodych Niemców. Spocone, czerwone twarze, hełmy głęboko nasunięte na oczy, w rękach pistolety maszynowe. Z głębi ulicy zbliżał się trzeci. A dalej, pod ścianą domów - trupy. To ci, którzy nie nadążali w marszu - ci, którzy wyglądali na powstańców, znaleźli śmierć z ręki niemieckich oprawców.

Wyszliśmy wreszcie na plac Zamkowy. Po lewej stronie zwalonej Kolumny Zygmunta stał ogromny tłum, a dookoła uganiało kilkunastu Niemców i Własowców.

Staliśmy ciasno ścioczeni w szeregach, czekając aż Niemcy uformują oddziały do dalszego marszu. Grupy te kierowali w ulicę Mariensztat. W pewnym momencie przez szeregi popłynął szept: - Złoto, chowajcie złoto! Zabierają! -

Słowa te wydały mi się profanacją. Złoto! Cóż warte jest złoto wobec tego, co stało się na Długiej 7, co działo się na każdej uliczce Starego Miasta? Jak ci ludzie mogą w takiej chwili myśleć o złocie?

Poczułam się obca i całkowicie samotna wśród tego tłumu. Gdzie podziała się Basia i o. Rostworowski? Przecież szli zaraz za mną dźwigając rannych. A co pocznę z tą malutką dziewczynką? Jak odnaleźć jej matkę?

Cofnęłam się do tyłu i zaczęłam przeciskać się przez szeregi, rozglądając się na wszystkie strony i jednocześnie obserwując Niemców, czy aby nie widzą zamieszania jakie wywołuję. Niestety, Basi nie było nigdzie, natomiast wysoka, ciemnowłosa kobieta zabrała ode mnie dziewczynkę. Mała wyciągnęła do niej rączkę, więc zapewne był to ktoś z jej rodziny.

Zadowolona, że odzyskałam swobodę działania, tym energiczniej przesuwałam się wśród tłumu, lecz Basi nie mogłam dostrzec. A co stało się z Wisią i Ikarem? Przecież Ikar ranny w obie nogi, oparty jedną ręką o Wisię, a drugą wspierający się na szczołce od zamykania, napewno daleko nie zaszedł. Przesunęłam się na czoło kolumny i już za chwilę maszerowałam opadającą ku Wiśle ulicą Mariensztat.

Na skarpie, pod murem kościoła św. Anny, na krawężniku ulicy, pojedynczo i grupami siedzieli ranni. Całkowicie wyczerpani długotrwałym przebywaniem w piwnicach, głodni, po wyjściu na powietrze szybko stracili niewielki zapas sił. Kompletnie zrezygnowani, nie próbowali nawet prosić o pomoc.



Wisię i Ikara zobaczyłam już z daleka. Siedzieli po lewej stronie ulicy na gruzach jakiegoś rozwalonego domku czy budki, w miejscu gdzie Mariensztat zatacza łuk w prawo. Usiadłam koło nich i po chwili milczenia, opowiedziałam w kilku słowach, co zaszło w szpitalu po ich wyjściu. Spojrzawszy na Ikara zorientowałam się od razu, że osłabł całkowicie i o dalszym, samodzielnym marszu nie ma mowy.

Podniosłam głowę i na wprost, na górze, dostrzegłam kilku Niemców, jak z pistoletami w rękach i miotaczem płomieni szybko zmierzali ku grupie rannych. Zerwałam się wołając:

- Musimy iść, natychmiast musimy iść! -

Ikar zerwał się również, chwycił szczotkę jak szczudło, drugą ręką oparł się o Wisię, zrobił kilka kroków - i stanął. Blady, z twarzą skurczoną bólem wyszeptał:

- Nie pójdę dalej. Nie mogę -

Rozejrzałam się wokół bezradnie. Żeby jakieś nosze, albo chociaż kij. Z mego białego kitla, w który byłam ubrana, szczotki i kija możnaby zrobić prymitywne nosze. Ale skąd wziąć kij?

Zacząłam penetrować rumowisko, lecz wszystko było dokładnie pogruchtane. Popatrzyłam znowu ku górze i widok płomieni zdopinguował mnie do szybkiego działania.

- Jurek, wezmę cię "na barana", nie ma innego wyjścia. -

Ikar patrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Ależ Janeczko, nie dasz rady. -

- Co mam nie dać rady. Jestem silna. -

mówiłam głosem szorstkim i rozkazującym, co mnie samą miało utwierdzić w przekonaniu, że zadanie jest dziecinnie łatwe.

Chwyciłam Ikara za ręce i usiłowałam zarzucić na plecy, a Wisia z całej siły pchała go do góry. Kiedy jednak chciałam podtrzymać go za obandażowane uda - Ikar jęknął. Trzymając go za ręce zrobiłam kilka kroków. Nogi Ikara wlokły się po bruku, a ja zgięta w pół, nie mogłam chwycić oddechu.

- Nie, nic z tego nie wyjdzie. W ten sposób daleko nie zajdziemy.

Muszę cię trzymać za nogi, chociaż będzie bolało. Musimy natychmiast stąd iść. -

Ikar już nie protestował. Objął mnie za szyję, ja rękami chwyciłam go za uda i wolniutko ruszyliśmy naprzód.

Te pierwsze kroki były bardzo ciężkie. Nie mogłam złapać rytmicznego oddechu, dusiłam się. Stopniowo jednak szło mi się coraz lepiej. Mimo ogromnego ciężaru, pewnie posuwaliśmy się dalej. Tak dobrnęliśmy do ulicy Bednarskiej, która stromo pięła się do Krakowskiego Przedmieścia.



Krótki odpoczynek i dysząc jak miech kowalski, zaczęłam pokonywać wzniesienie.

Szłam zakosami od krawężnika do krawężnika, zawadzając o ludzi, którzy żółwim tempem sunęli ulicą. Jurek zsuwał mi się z ramion i dusił w szyję, słońce prażyło niemiłosiernie, pot zalewał oczy. W połowie ulicy dostrzegłam panią Faryaszewską, jak utykając, z zabandażowaną nogą, przygarbiona, z chlebakiem przewieszonym przez ramię, z wielkim wysiłkiem szła pod górę. Wreszcie koniec męczarni - dobrnęliśmy do Krakowskiego. Jeszcze kawałek drogi, ale już po równym asfalcie i z wielką ulgą podadziłam Ikarowi na krawężniku, za pomnikiem Mickiewicza, a sama oparłam się o ogrodzenie, aby wydyszeć zmęczenie.

Na tyłach pomnika i na placyku przed kościołem Karmelitów było pełno ludzi, a z dołu ciągle jeszcze przybywały małe grupki. Niemcy kręcili się nerwowo, formowali niewielkie kolumny i pod ich osłoną /był ostrzał powstańczy/, przechodzili Krakowskie Przedmieście, kierując się ~~xxxxxxx~~ na Plac Saski. Z kościoła Karmelitów, który był zamieniony na szpital, wyszły dwie pielęgniarki. Przeciskając się wśród tłumu informowały, że ranni oraz osoby, którym brak sił uniemożliwia dalszą marszrutę mogą pozostać w szpitalu.

- Chcesz zostać ? -

zapytałam Jurka. Ikar nie odpowiadał, ale przecież w tej chwili znowu pomyśleliśmy o szpitalu na Długiej 7. Nie wierzyłam już nikomu.

- Jeżeli chcesz iść z nami, to ja jeszcze mam siły, poniosę cię.- Ikar ucieszył się.

- Oczywiście, z wami -

Czekałam dłuższy czas, aby nabrać sił, wreszcie przy pomocy Wisi załadowałam Jurka na plecy i samotnie, tylko we troje, poszliśmy dalej. Na Placu Saskim kręciło się wielu Niemców, ale nikt nas nie zaczepił. Weszliśmy do ogrodu Saskiego. Zieleń drzew i trawy, cisza, ani jednego człowieka w zasięgu mego wzroku - to miejsce wydało mi się oazą spokoju. Jak dobrze było iść alejką w cieniu drzew, wdychając świeże, czyste powietrze.

Właśnie rozglądałam się gdzieby tu zatrzymać się na odpoczynek, kiedy za zakrętem ścieżki ujrzałam grupę niemieckich oficerów. Stali na trawniku po lewej stronie alejki, którą w pewnej odległości przed nami, trzymając się pod ręce, dreptało troje starszaków. Były to dwie starszeczki w długich, czarnych sukniach, a między nimi starszek, którego białe włosy świeciły z daleka jasną plamą.



Kiedy staruszkowie zbliżyli się do oficerów, jeden z nich podszedł do nich i rozkładając szeroko ręce zaczął spychać ich na trawnik. Patrzyłam zaintrygowana, staruszkowie również nie wiedzieli o co Niemcowi chodzi. Zbili się w gromadkę, dreptali w miejscu, wreszcie jednak usunęli się na prawą stronę alejki. Oficer wyciągnął rewolwer i za chwilę trzy ciała osunęły się na trawnik. Żadnego krzyku czy jęku - tylko trzy suche strzały. Niemiec obrócił się teraz w naszą stronę. Wciąż trzymając rewolwer i lekko nim kołysząc - patrzył na nas.

Poczułam, że cała krew odprywa mi z serca, nie mogłam oderwać nóg od ziemi. Czy to koniec ?

Nie było czasu na rozumowanie. Zadziałał instynkt. Zebrałam siły, podrzuciłam Jurka do góry na ramiona i maszerując jak na paradzie zbliżałam się do Niemców, demonstrując swoje możliwości.

Oficerowie z lewej strony alejki, wszyscy odwrócili się ku nam, mówiąc coś głośno między sobą i pokrzykując do oficera-mordercy, który ciągle jeszcze z rewolwerem w dłoni, stał po prawej stronie dróżki czekając na nas. Kołysząc z uznaniem głową zawołał coś do mnie. Ze zdenerwowania i wysiłku nie zrozumiałam ani słowa. Kiedy zrównałam się z nim, zaczęłam głośno mówić do Ikara, coś zupełnie bez sensu, chcąc tylko pokazać, że się nie boimy. Mijając Niemca myślałam szybko: strzelił - czy nie ? Zabije nas oboje - czy tylko Ikara ?

Czułam dosłownie każdy milimetr skóry na plecach, oczekując w napięciu kiedy padną strzały.

Wciąż pewnym krokiem oddalaliśmy się od Niemców. Nikt nie strzelał. Wreszcie zasłoniły nas drzewa. Poczułam straszne zmęczenie. Powinnam posadzić Jurka i odpocząć, ale obawiałam się, że znowu natkniemy się na Niemców.

Zbliżaliśmy się do bramy ogrodu, od strony Żelaznej Bramy. Przed bramą znów zauważyłam hitlerowców - tym razem żołnierzy. Obserwowałam ich pilnie, gdyż spostrzegłszy nas obrócili się z zainteresowaniem w naszą stronę, a jeden z nich zaczął wykonywać jakieś podejrzane ruchy. Za chwilę dojrzałam, że żołnierz wyciągnął aparat fotograficzny i pochylony czekał, aż "wejdziemy" mu w obiektyw. Potem jeszcze zdjęcie z profilu - i wyszliśmy na ulicę Elektorálną.

Całą jezdnię zajmował gęsty tłum. Patrzyłam przerażona. Jak tu iść w tej ciżbie ? Jurek zawadzał nogami o najbliższych idących, wlekliśmy się ślimaczym tempem, nie było żadnej możliwości wypoczynku, a ja przecież niosłam Ikara bez zatrzymywania się, aż od kościoła Karmelitów.



Popuchnięte dłonie otwierają się bez mojej woli. Zgięte w łokciach ręce - prostują się. Przeworsowane mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. Jurek, aby nie zsunąć się na ziemię, kurczowo zaciska mi ręce na szyi. Chwilami chyba traci przytomność z bólu i upału, gdyż jego głowa opada bezwładnie. Proszę Wisię, aby podtrzymywała go od tyłu, zawijam kitel usiłując w ten sposób odciążyć ręce, ale to wszystko nic nie pomaga. Muszę odpocząć, za wszelką cenę odpocząć.

Co chwila kolumna zatrzymuje się, potem pełźnie powolutku naprzód. Idę ze zwieszoną głową, z wielkim wysiłkiem, ale mimo to nieustannie obserwuję Niemców, którzy nas eskortują, aby w razie czego - odpowiednio zadziałać.

Słowo "Fraulein" wypowiedziane tuż za mną, działa jak wystrzał. Obracam się natychmiast i widzę obok siebie starszego Niemca. Przygląda mi się badawczo i pyta:

- Kim jest dla pani ten młody człowiek, którego pani niesie ?

Zaskoczona zwlekam z odpowiedzią, więc Niemiec pyta dalej:

- Czy to pani narzeczony, a może ktoś z rodziny ? -

- Nie, to moj kolega -
odpowiadam.

- Ach tak - kolega -
powtarza i zostaje w tłumie.

- Filozof, cholera ! -

klnę półgłosem podenerwowana niespodziewanym zajściem, ale przecież w oczach tego człowieka, oprócz zwykłej ciekawości, dostrzegłam szczere współczucie.

Ulica Chłodna. Tu utknęliśmy na dobre w zwartym tłumie, przez który usiłują precyzyjnie się ciężarówki. Na dwóch samochodach widzę sanitariuszki z opaskami Czerwonego Krzyża. Staram dowiedzieć się od nich dokąd nas prowadzą, ale nie słyszymy się wzajemnie wśród warkotu silników i hałasu.

Niemcy dosłownie szaleją, usiłując za wszelką cenę oswobodzić środek jezdni i zlikwidować zator. Zatrzymujemy się wreszcie przed jakimś kościołem. Zsuwam Jurka z pleców i tak stoimy przez dłuższą chwilę w trójkę, opierając się wzajemnie o siebie i podtrzymując rannego.

Niemcy kierują teraz ludzi na teren kościoła. Wszystko to zaczyna mi się nie podobać. Jakieś przeczucie mówi mi, żeby skorzystać z okazji i dołączyć do kolumny, która szybko maszeruje naprzód. Stopniowo robi się coraz luźniej. Przesuwam się teraz na lewą stronę, gdyż w ten sposób nie zawadzam nogami Jurka o sąsiadów z szeregu.



Tempo marszu słabnie., idziemy coraz wolniej, wreszcie nadchodzi chwila upragnionego odpoczynku.

Ludzie siadają na jezdni i na krawężnikach. Ja także sadzam Jurka na ziemi i obróciwszy się ku tyłowi obserwuję miasto. Wokół widzę tylko ruiny i zgliszcza. Nie przetrwał ani jeden dom. W górę wzbija się eskadra samolotów, zatacza efektowny łuk i błyszcząc w słońcu pikuje nad zasnutym dymami miastem. Detonacji nie słychać. Gdzie to może być? - zastanawiam się. Nagłe, przeźwiące wycie podrywa wiele osób na nogi. Niemcy śmieją się. To "szafy" - już dla nas niegroźne - z szumem i piekielnym zgrzytem strzelają gdzieś w ruinach.

Dopiero teraz patrząc z perspektywy czasu, zdaję sobie sprawę, że Warszawa przestała istnieć. Staram się utrwalić sobie ten obraz, gdyż wiem, że nawet jeśli tu jeszcze wrócę, to nigdy już nie zobaczę Warszawy z czasów mojej młodości, mojego drogiego, rodzinnego miasta. Tyle ofiar, tyle krwi, cierpienie i bólu, ci wynędzniali ludzie z resztkami dobytku na plecach, zburzone miasto oto rezultat naszej walki.

Z ciężkim sercem, z oczami pełnymi łez ruszam dalej. Idziemy w milczeniu, co najwyżej od czasu do czasu wołam do Jurka, który słabnie i osuwając się dławi mnie rękami za gardło, aby opierał się o moje ramiona. I on, i ja jesteśmy już strasznie wyczerpani. Na domiar złego - ten potworny upał. Gardło mam kompletnie wysuszone, pokryte jakimś gorzkim nalotem, język jak kawał drewna, usta zeschnięte i popękane.

Obok nas idzie kobieta z małym chłopcem. Na plecach dźwiga duży toból, a drugą ręką ciągnie za sobą dziecko. Chłopiec ubrany w ciepłe palto, zmęczony i spocony, potyka się co chwilę i bezustannie jęczy:

- Pić, mamó pić ! -

- Żeby choć szklanek wody -
wzdycha kobieta.

- Poszłabym do Niemców po wodę, ale nie mam żadnego naczynia -

- Ja mam litrową butelkę w tłumoku -

Na najbliższym postoju biegnę po wodę. Wzdłuż całej Chłodnej, przed bramami wypalonych lub zrujnowanych domów, siedzą Niemcy. Powynosili fotele, kanapy i stoły. Siedzą rozparci popijając oranżadę, palą papierosy i obserwują tłum pilnując, aby komuś nie przyszło do głowy ukryć się w ruinach. Korowód nieszczęśliwych, częstokroć rannych ludzi, wypędzonych z własnego miasta, pozostawiających za sobą trupy najbliższych i spalone domy - nie



wywołuje u nich żadnego współczucia. Przeciwnie, śmieją się i dowcipkując wskazują rękami niektóre osoby z szeregu. Widok nieszczęścia spowszedniał im już.

Kiedy zwracam się z prośbą o wodę, żołnierze zaczynają żartować, pytają kto mi podbił oczy, proponują abym z nimi została. Jeden z nich bierze jednak butelkę i niknie w bramie. Denerwuję się bardzo, bo kolumna zaraz może ruszyć dalej i co wówczas będzie z Jurkiem? Obejrzałam się nerwowo za siebie, machnęłam ręką i złota bransoletka, którą dano mi w domu "na wszelki wypadek", zsunęła się na przegub ręki. Jeden z Niemców dostrzega ją ~~złoty~~ i chwyciwszy mnie za rękę ciągnie do siebie. Opór nic tu nie pomoże, udaję że idę potulnie za nim, śmieję się nawet, aż jednym nagłym szarpnięciem uwalniam dłoń. Właśnie w bramie ukazuje się żołnierz z pełną butelką, chwytam ją w locie i wybiegam na ulicę. Niemcy wybuchają śmiechem szydząc z kolegi, ale ja już jestem daleko.

Tu zewsząd wyciąga się do mnie kilkadziesiąt rąk.

- Wody, wody ! Chociaż łyczek ! -

Przytułam butelkę do siebie i opędzając się docieram do swoich. Najpierw pije chłopiec, potem Jurek, Wisia, kobieta i wreszcie ja. Trzymam butelkę do góry dnem i łapczywie zlizuję każdą kroplę. Tylko w takiej chwili jak ta, można ocenić czym jest woda.

Znowu maszerujemy naprzód. Obok nas często przebiega młody, wysoki Niemiec. Jest to zapewne czeski Volksdeutsch, bo ciągle coś mówi do idących zabawnym dialektem, mieszając słowa niemieckie i czeskie. Właśnie zrownał się ze mną i mówi:

- Ja ciebie obserwuję już dłuższy czas. Ależ ty masz siłę !
Taki kawał drogi niesiesz tego rannego. Na pewno jesteś sportsmenką ! -

- Nie, nie jestem sportsmenką, w szacie wojny nie miałam możliwości uprawiania sportu, ale w szkole miałam niezłe wyniki. -
Podtrzymuję rozmowę, mimo że mnie ona bardzo męczy, ale z tylnych szeregów dochodzą nas jakieś rozpaczliwe kobiece krzyki.

- Szkoda, wielka szkoda, bo z taką siłą i wytrwałością na pewno znalazłabyś się na olimpiadzie. -

Domyślamy się co oznaczają te krzyki i wołania o ratunek.

Wisia chwyta mnie pod rękę pozorując, że pomaga nieść rannego i z przerażeniem ogląda się do tyłu.

- Co tam się dzieje ? -

pytam Niemca.

- Ach, to ci przekłęci "Russen". Nie bojcie się, jak ja tu jestem, to oni się nie zbliżą. Teraz muszę iść do przodu, ale uważajcie i w razie czego - uciekajcie do mnie.



No tak - łatwo powiedzieć "uciekajcie". Krzyki na szczęście cichną i w milczeniu ludzie brną dalej.

Jestem już tak zmęczona, że przestaję zwracać uwagę na cokolwiek. Nie obserwuję ani Niemców, ani sąsiadów, nie patrzę na mijane ruiny i ulice. To przecież już Wolska. Toczę teraz walkę z własną słabością. Wytrwać, za wszelką cenę wytrwać. Niosłam go taki kawał drogi, nie zostawię teraz na pastwę mordercom. Siły opuszczają mnie gwałtownie. Rozglądam się rozpaczliwie po idących obok mnie, ale nie ma się co ludzić. Nikt nam nie pomoże. Ci ludzie sami wloką się resztkami sił. Mimo, że kolumna maszeruje dalej, przystaję aby odpocząć. Sadzam Jurka na krawężniku, a sama obserwuję idących.

Nagle dostrzegam wózek, prawdziwy wózek na 2-ch kołach, pełen rannych, który popycha za dyszel krępy, atletycznie zbudowany mężczyzna. Wózek toczy się środkiem tłumu, za nim tworzy się pusta przestrzeń. Z szeregu wyrywa się malutka staruszczyzna, z wysiłkiem dogania jadących i błaga:

- Zabierzcie mnie, nie mogę iść! -

Siedzący na wozku ranni, stłoczeni wprost jeden na drugim, nie odpowiadają, odwracają głowy, zdawałoby się, że nie dostrzegli starowinki. Wobec ich oporu, staruszczyzna usiłuje zatrzymać mężczyznę. Wózek oddala się, a ona pozostaje na środku jezdni z wyciągniętą ręką, mijana obojętnie przez idących.

- Jej nie wzięli, ale Jurka muszą wziąć - mówię głośno do siebie. Chwytam rannego na plecy i najszybciej jak tylko mogę, zbliżam się do wózka. Już zrównałam się z mężczyzną, teraz podchodzę do jadących.

- Posuńcie się! Weźcie go chociaż na parę minut.

Ja muszę odpocząć! -

Chłopcy nie odzywają się, ale ja nie ustępuję, idąc wciąż obok nich.

- No posuńcie się przecież! -

woła wreszcie któryś z nich. Nie czekam co powiedzą inni i ładuję Jurka na wózek. Tak, to był ostatni moment. Nogi chwieją się pode mną, w oczach migają czarne koła. Kurczowo trzymam się desek, aby nie upaść. Powoli kryzys mija i razem z mężczyzną i Wisią toczymy wehikuł z rannymi.

Skręcamy w boczną ulicę. Wózek zatacza szeroki łuk i staje na środku zakrętu. Ulica wybrukowana jest "kocimi łbami", tu nasze siły nie wystarczają tym bardziej, że znika mężczyzna, który z takim poświęceniem wioził rannych przez całą drogę.



Stoimy bezradnie, próbując zatrzymać mijających nas ludzi, ale nikt nie słucha naszych prośb. Omijają nas z daleka, nawet nie patrząc na wózek z rannymi. Dostrzegł nas natomiast któryś z Niemców. Pędzi w naszym kierunku wrzeszcząc z daleka:

- Dlaczego stoicie na środku ?

Dlaczego tamujecie ruch ? -

Wskazuję ręką na kamienie i mówię:

- Nie damy rady, nie mamy tyle sił -

Niemiec robi się purpurowy z wściekłości.

- To świństwo! To świństwo, aby dwie dziewczyny „pchały” tylu rannych ! -

Gdzie są mężczyźni ? -

Właśnie mija nas chyłkiem jakiś jegomość z wielkim tobołem na plecach. Niemiec przyskakuje do niego, zrywa mu toboł z pleców, odrzuca na pobocze, a właściciela pchnięciem w kark kieruje do dyszla. Momentalnie mamy kilku pomocników i prawie bez naszej pomocy ranni jadą dalej.

Tu miasto się kończy. Domy są coraz rzadsze, bruk urywa się i koła wozka grzęzną w głębokim piachu. Jazda skończona. Ranni gramolą się jak który może, ja znowu biorę Jurka "na barana" i maszerujemy teraz pełną drogą. Ludzie idą luźnym szeregiem, Niemców straciłam z oczu. Dochodzimy do pola pomidorów. Przy drodze krzaczki są zupełnie zdeптane, ale dalej może jeszcze coś się znajdzie? Sadzam Jurka na piasku i biegnę wraz z kilkoma innymi osobami. Udało mi się zerwać parę małych, zielonych pomidorów, które żuję łapczywie, wysysając sok. Nagle za nami rozlegają się krzyki:

- Wracajcie, Niemcy strzelają ! -

Biorę Ikara na plecy i maszerujemy teraz w kierunku wagonów kolejowych, które stoją na torach w szczerym polu. Właśnie przed chwilą odjechał pociąg, więc ludzi zbiera się niewielu, sami z ulgą wsiadają do przedpotopowych wagonów i rozkładają się na ławkach.

Wsadzenie Jurka do wagonu sprawia nam wiele kłopotu, gdyż nasyp jest wprawdzie niewysoki, ale nie ma rampy.

Po wielu wysiłkach wdrapujemy się nareszcie, układamy Ikara na ławce, Wisia lokuje się obok niego, a ja siadam na stopniach wejścia i obserwuję napływających ludzi. Może dojrzę wśród nich Basię lub ojca Rostworowskiego?

Dzień ma się ku końcowi. Słońce zaszło właśnie, a nad rozciągającymi się przede mną łąkami, tworzy się opar. Widok ten działa kojąco. Tak tu cicho i spokojnie. Powoli uspakajam się i wypoczywam.



Zapada zmrok. Trzeba wracać do wagonu, bo jest coraz chłodniej. Przedziały wypełniły się już. Jurek musiał się podnieść, siadam więc koło niego i przytulamy się we troje do siebie, bawstrząsając nami dreszcze.

Wszyscy jesteśmy bardzo lekko ubrani. Ja mam na sobie męską koszulę ze Stawek, spodnicę Basi z wielką dziurą nad kolanem, krotki biały kitel, a na gołych nogach półbuty mocno "sfatygowane" chodzeniem po gruzach. Z żalem wspominam moją "panterkę", którą przed wejściem Niemców na Stare Miasto wyrzuciłam w gruz. Taka była ciepła i wygodna! Można w niej było spać na gołych kamieniach.

Zjawiają się Niemcy i kolejjarze. Pociąg rusza. Podróż trwa długo. Zatrzymujemy się kilka razy w polu, wreszcie wysiadamy. W ciemnościach z trudem rozróżniamy kontury jakiś wielkich hal fabrycznych. Stoimy koło płotu, nie wiedząc co z sobą począć. Zjawiają się miejscowi młodzi ludzie, którzy objaśniają nam, że jesteśmy w Pruszkowie, na terenie obozu przejściowego, mieszczącego się w halach warsztatów kolejowych. Rannych podwozi wóz konny, ale właśnie niedawno odjechał.

Po raz ostatni biorę Jurka "na barana" i idziemy przed siebie. Dostrzegam szeroko otwarte wejście do jakiegoś budynku, więc bez namysłu wchodzę do środka. W pomieszczeniu panują ciemności i przejmujący chłód. Wydaje się zupełnie puste. Ktoś zapala ogarek świecy, inny zapałkę i w tym nikłym świetle dostrzegam pod ścianami skulone postacie. Odnajdujemy p. faryaszewską, rannego kolegę Jurka - Leszka /który jechał na wózku/ i wszyscy razem przysiadamy pod ścianą.

Po chwili zęby zaczynają nam szczekać z zimna i zmęczenia. Ciało ogarnia lodowaty chłód. Jak przetrwać tę noc?

Przypominam sobie, że przy wejściu do hali leżały płyty wiórowe. Zawsze lepsze to niż wilgotny beton. Idziemy z Wisią na poszukiwania. Dźwigamy właśnie płytę "na posłanie", gdy nagle wysuwa się mi ona z przemęczonych rąk. Z głośnym okrzykiem i śmiechem odskakuję do tyłu, aby nie spadła mi na nogi. W tej chwili słyszę za sobą okrzyk radości. Ktoś zarzuca mi ręce na szyję. To Basia! Nareszcie znalazłyśmy się! Całujemy się i cieszymy niezmiernie. O ile łatwiej znosić niedolę wraz z przyjacielem, a Basia to wspaniały człowiek, najofiarniejsza z ofiarnych, bezgranicznie dobra i serdeczna.

Ucieszone spotkaniem, wspólnie przygotowujemy legowisko z płyt i układamy się pokotem, ciasno, jedno przy drugim, aby ochronić się przed zimnem. Ktoś, bodajże Leszek, ma kurtkę, którą w 6-kę

I/11-42



nakrywamy się z wierzchu. Nakrycie to przesuwają się bezustannie, ponieważ w półśnie, każdy ciągnie je w swoją stronę. Wreszcie zapadamy w kamienny sen.

Przebudzenie nie jest przyjemne. Jestem tak zeszywniała i obolała, że nie mogę podnieść się o własnych siłach. Basia pomaga mi stanąć na nogi. Odrazu jednak przystępujemy do działania kombinując, jak tu wydostać się z obozu. Po paru godzinach zbierania informacji i rozmów, mamy już pewne osiągnięcia. Jurek i Leszek jako ranni, zostali zapisani na listę i pojedą do szpitala pod Warszawę. Pojedzie z nimi również Wisia, najsłabsza fizycznie z naszej trójki. Ubieram Wisię w swój biały kitel i przy wydatnej pomocy uczynnych polskich pielęgniarek - zapisujemy ją jako sanitariuszkę, aby mogła towarzyszyć obu rannym,

Po serdecznym pożegnaniu, Wisia, Jurek i Leszek odjeżdżają do szpitala, a my z Basią wyruszamy na zwiedzanie obozu.

Jesteśmy potwornie głodne. Głód dosłownie skręca nam kiszkę. Gdzieby tu dostać coś do zjedzenia, zastanawiamy się wspólnie. Jakoś niepostrzeżenie znalazłyśmy się pod barakiem kuchennym. Z okna wychyla się puciołowata słowiańska twarz. Rosjanin rozgląda się bacznie dookoła, a potem pyta:

- Dzieuszki, a supu chatitie ? -

Któżby nie chciał zupy ! Jesteśmy zachwycone propozycją, okazuje się jednak, że kuchcik nie może nam dać żadnego naczynia. Gdzieby tu zdobyć jakąś miskę lub garnuszek?

W obozie garnuszek, łyżka, miska, to drogocenne przedmioty, których strzeże się jak oka w głowie. Nie ma więc nadziei, aby ktoś zechciał nam je wypożyczyć. Zmartwione idziemy właśnie koło ogromnych dołów kłocznych, nad którymi leżą oparte na krzyżakach długie drągi, chroniące przed utonięciem w nieczystościach, kiedy dostrzegamy zagrzebaną w piasku puszkę po konserwach. Puszka jest zupełnie zardzewiała i zgięta z jednej strony, bo pewnie ją ktoś przydeptał. Podnosimy ją, oglądamy przez chwilę ze wstrętem, ale potem zapewniając się wzajemnie że jest przecież jeszcze zupełnie dobra, a co najważniejsze - duża, biegniemy pod kran, aby ją nieco odszorować piachem. Nasze starania nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Puszka jest tak przeżarta rdzą, że prędzej zrobimy w niej dziurę niż ją odmyjemy.

- Jest już przecież czysta -

wmawiamy sobie i biegniemy po zupe. Kuchcik dotrzymuje słowa, pyta tylko czy w pobliżu nie widać "germańca", a potem nalewa



aż po wręby wspaniałej, pomidorowej zupy. Pijemy najpierw płyn podając sobie naczynie z rąk do rąk, potem palcami wyciągamy rurki makaronu. To było wspaniałe! Zaspokoiwszy nieco głód, podniesione na duchu, wracamy do naszej hali.

Właśnie ma się odbyć przegląd lekarski. Ludzie ustawiają się w długą kolumnę. Niemiecki lekarz w mundurze wraz z polskim personelem rozdzielają przesuwającą się do przodu kolejkę na dwa nurty: na prawo i na lewo. My trafiamy na prawo, do starców, chorych i rannych. Basia podaje się za chorą na gruźlicę, ja mam górną część twarzy siną i zieloną, białka oczu natomiast zupełnie czerwone, gdyż od wybuchu popękały mi w oczach naczynia krwionośne. Przeżycia ostatnich dni sprawiły, że obie wyglądamy niesamowicie. Wraz z p. Faryaszewską skierowane zostajemy do sali na pierwszym piętrze, gdzie mamy oczekiwać na transport do Szymanowa.

Panią Faryaszewską widywałam kilkakrotnie na Starym Mieście, ale poznałam ją dopiero poprzedniego dnia, w piwnicy na Kilińskiego 1, gdzie zastałyśmy ją dyżurującą przy rannaj, przyjaciółce jej córki Ewy. Ewa Faryaszewska wraz z ową koleżanką i jej mężem, zabezpieczali staromiejskie zabytki /Kazimiera i Leszek Świderscy/. Eksplodujący granat zabił Ewę, męża koleżanki, a ją samą ciężko ranił. Pani Faryaszewska również ranna w nogę, zaopekowała się dziewczyną i pozostała z nią w naszym szpitaliku, a potem towarzyszyła jej na Długiej 7.

Spotkana ponownie w Pruszkowie, p. Faryaszewska okazała nam wiele serca. Kiedy zostałyśmy tylko we trzy, podała nam adres swoich krewnych p. Grochowskich, zamieszkałych w Pruszkowie przy ul. Drzymały 4, a potem wyciągnęła pieniądze i wręczyła każdej z nas po 500.- zł, abyśmy miały na najpilniejsze wydatki. Później, przez cały czas naszego pobytu w obozie we Wrocławiu, utrzymywała z nami kontakt, pisząc karty, podtrzymując nas na duchu i przysyłając paczki, mimo że sama była w ciężkich warunkach materialnych, a ponadto miała kłopoty z nogą, którą trzeba było operować. Jej też w dużej mierze zawdzięczamy powodzenie naszej ucieczki z obozu we Wrocławiu, ponieważ podała nam adresy swojej rodziny w Sosnowcu i Krakowie, która nam w tej ucieczce okazała wiele pomocy.

P. Faryaszewska została przez komisję zapisana na wyjazd na tereny G.G. My z Basią oczekiwałyśmy na opuszczenie obozu w Pruszkowie przez wiele godzin. Było już późne popołudnie, kiedy kazano nam ustawić się w kolumnę. Niestety, w tym momencie rozpadał się

I/1-46



l.dz. 2883 WSK 01

potworny deszcz. Woda ciekła strumieniami, jakby ją ktoś wylewał wiadrem na nasze biedna głowy. Pżemoczone do gołej skóry, stałyśmy przed halą, tuląc głowy w ramionach, jednakże na widok ojca i syna trzymających nad głowami miednice - ojciec dużą, a syn malutką - wybuchnęłyśmy niepoohamowanym śmiechem.

W końcu zjawiła się siostra z listą i poprowadziła nas do bramy.

Tu nowa trudność - przepuszczono wszystkich za wyjątkiem mnie, gdyż nie miałam Kennkarty /spłonęła wraz z kolegami na Długiej ?/ Basia przyklepiona po drugiej stronie do ogrodzenia dawała mi rozpaczliwe znaki, a ja nie wiedziałam co począć. Po pewnym czasie jednak udało mi się prześlizgnąć przez bramę. Pielęgniarka odprowadziła nas kawał drogi, a potem puściła wolno, ale gdzie tu się podziąć? Zapadał wieczór, byłyśmy mokre, zmęczone i zziębnięte. Skierowałyśmy swe kroki do RGO, gdzie w kącie sali, na słomie, spędziłyśmy tę pierwszą noc na wolności.

Rano przyszła córka p.Grochowskich i zabrała nas do siebie. Patrzyłyśmy zdumione na całe szyby w oknach, stoł nakryty obrusem noże, widelce, talerze - to był inny świat, który przestał dla nas istnieć zdawało się przed wiekami. Wreszcie mogliśmy się umyć. Przygotowano nam czyste łóżka.

Basia dostała temperatury, więc prędko skorzystała z zaproszenia i położyła się, ja natomiast poczułam się w obowiązku przynieść konewkę wody ze studni, gdyż p.Grochowska zaofiarowała się uprać nam nasze rzeczy. Niestety, siły opuściły mnie i aby nie upaść - przysiadłam na schodach. Za chwilę i ja znalazłam się w łóżku.

Na drugi dzień obudziłyśmy się bardzo późno. W czasie sniadania przybiegła sąsiadka z informacją, że Niemcy urządzili łapankę na Warszawiaków, ulice są obstawione i kontrolują dom po domu. My, naprawdę chore, a do tego jeszcze oficjalnie zwolnione z obozu, postanowiłyśmy zaryzykować i pozostać w łóżkach. Zresztą byłyśmy tak zgnębione i zrezygnowane, że było nam wszystko jedno, co się z nami stanie.

Kiedy do mieszkania wkroczyli Niemcy, nie pomogły jednak żadne tłumaczenia. Basia miała warszawską Kennkartę, ja nie miałam żadnych dokumentów, a sam nasz wygląd wskazywał skąd przyszłyśmy. Trzeba było wstać, ubrać się i podążyć za Niemcem, który nas oczekiwał.

P.Grochowska zdążyła nas przyodziać w jakieś letnie sukienki, zrobiła zawiniątko z prowiantem. Kiedy znalazłyśmy się w punkcie zbornym, przybiegł jeszcze p.Grochowski i przyniósł mi swoją kurtkę. Niejednokrotnie serdecznie wspominałam go za ten dar,



gdyż kurtka ta stanowiła moją jedyną osłonę przed mrozem, przez całą srogą zimę 1944-45.

Znowu zaprowadzono nas do hal, podzielono na grupy i już nocą załadowano do wagonów towarowych. W naszym wagonie było 40 kobiet w różnym wieku. Na drogę dostałyśmy po bocheneczku chleba i miseczkę marmolady na cały wagon. Drzwi zaryglowano i przy akompaniamencie płaczu i krzyku pociąg ruszył w nieznaną. Na czwarty dzień dojechałyśmy do Wrocławia i wysiadłyśmy na bocznicę "Famo-Werke" Breslau.

Poznań, dnia 27. stycznia 1977r.

Janina Gruszczyńska-Jasiak
/Janina Gruszczyńska-Jasiak/

Z prawdziwą satysfakcją uzupełniam nasze relacje stwierdzeniem, że trzem rannym chłopcom od "Gustawa", wyniesionym przez nas z oficyny domu przy ul. Kilińskiego 3, udało się wydostać ze Starego Miasta.

Jeden z nich zmarł w podwarszawskim szpitalu, dwaj pozostali natomiast:

str. Tadeusz Wegner p.s. "Kruk"

kpr. Andrzej Duma p.s. "Kresowiak"

żyją do chwili obecnej.

Poznań, dnia 17 lipca 1994r.



I/A-51

2.

wpłynęło 27 08 2001
L-oliz 2883/426

Wpłynęło dnia 27 08 2001
L-oliz 2883/426

Ż Y C I O R Y S

Urodziłam się 11 grudnia 1922r. w Warszawie. Ojciec - Gruszczyński inżynier, por.WP, pracował w Szefostwie Budownictwa WP w Warszawie. Po przejściu na emeryturę prowadził własne przedsiębiorstwo budowlane. Brał udział w I wojnie światowej, w wojnie bolszewickiej 20 roku, oraz w II wojnie światowej. Ranny w 1939r. uciekł z transportu do ZSRR. Matka - Natalia z Wiśniewskich nie pracowała.

W 1932r. zaczęłam uczęszczać do szkoły podstawowej, a potem gimnazjum J.Kowalczykówny i J.Jawurkówny w Warszawie. W 1939r. otrzymałam t.zw.małą maturę. W czasie oblężenia Warszawy w 1939r. dom moich rodziców uległ spaleniu.

Naukę kontynuowałam na tajnych kompletach liceum wyż.wym. szkoły. Maturę zdałam w 1941r. W latach 1941-1944 uczęszczałam do Miejskiej Szkoły Handlowej prof.E.Lipińskiego - tajne SGH.

Od października 1941r. podjęłam pracę w konspiracji. Najpierw w ZWZ, a następnie w Harcerskim Batalionie AK "WIGRY". Przeszłam szkolenie sanitarne i bojowe. Na zlecenie por."Prokopa" /Roman Kaczorowski/, pełniłam funkcję łączniczki, przygotowywałam materiały szkoleniowe dla "Agricoli", której komendantem był dowódca bat."Wigry" kpt."Trzaska" /Eugeniusz Konopacki/. W 1944r. jako patrolowa organizowałam szkolenia sanitarne dla patrolu. Pseudonimy: "Janka", "Porzącka".

Brałam czynny udział w Powstaniu Warszawskim, w 2-gim plutonie kompanii szturmowej bat."Wigry" na Starym Mieście. Koncentracja na ul.Kilińskiego 1.

W dniach 3 - 6 sierpnia, wraz z koleżanką Barbarą Gancarczyk, organizowałyśmy szpital przy ul.Mariańskiej. Od 7 sierpnia do 2 września pełniłam funkcję sanitariuszki i łączniczki przy oddziale: walki o katedrę, ul.Jezuicka, Kanonia, Brzozowa, Rybaki, przebiecie do śródmieścia. W dn.13.08.44r. zostałam ranna podczas wybuchu "czołgu-pułapki" na ul.Kilińskiego/obrażenia głowy, wstrząs mózgu, ogólna kontuzja/.

Iu-2



W nocy z 1-go na 2-gi września, oczekując na wejście do kanału, wraz z koleżanką B.Gancarczyk, podjęłyśmy decyzję aby pozostać na Starym Mieście wraz z ciężko rannymi naszymi kolegami, którzy przebywali w "wigierskim" szpitaliku na ul.Kilińskiego 1. Po wkroczeniu Niemców w dn.2 września, przeniosłyśmy rannych /5 osób/ do szpitala przy ul.Długiej 7. Powiadomione przez O.Tomasza Rostworowskiego, że w piwnicach domu przy ul.Kilińskiego 3, w szpitalu bat."Gustaw", znajduje się kilkunastu rannych - przystąpiłyśmy do wynoszenia ich z płonącego domu. Nie wiedziałyśmy, że w szpitalu przy ul.Długiej 7 Niemcy rozpoczęli egzekucję ciężko rannych. Próby ratowania naszych kolegów nie dały rezultatu. Zginęli rozstrzelani.

Stare Miasto opuściłyśmy wraz z ludnością cywilną niosąc rannych. Ja niosłam na plecach rannego w nogi "Ikara", z ul.Marienstat na ul.Wolską, gdzie udało mi się umieścić go na wózku z rannymi. Pchając wózek, a potem znowu na plecach, doniosłam go do pociągu ewakuującego na Woli. Pociągiem tym dojechaliśmy do obozu przejściowego w Pruszkowie. Wraz z koleżanką B.Gancarczyk wydostałyśmy się z obozu następnego dnia. Złapane podczas łapanki na Warszawiaków, zostałyśmy wywiezione do fabryki zbrojeniowej "Famo-Werke" we Wrocławiu. 2-krotnie podejmowałyśmy próby ucieczki. Ta w dn.9.12.44r. udała się, przeszłyśmy granicę GG i dotarłyśmy do Nowego Targu, gdzie miałam kuzynów. Wyrobiłyśmy Kennkarty na fałszywe nazwiska /ja - Joanna Urbańska/ i pracowałyśmy w miejscowym "Tabakwerku". Po wkroczeniu wojsk sowieckich, w dn.30.01.45r. wyruszyłyśmy na piechotę do Warszawy. W domu zastałam ciężko chorego ojca. Mieszkanie nasze ponownie zostało zniszczone przez pocisk dużego kalibru. Nazajutrz po przybyciu do Warszawy t.j. 11 lutego - poszłyśmy z koleżanką B.Gancarczyk na Stare Miasto. W ruinach, przysypane śniegiem, leżały szczątki spalonych ludzi, także chłopców od "Gustawa". Szczątki naszych kolegów spoczywały pod grubą warstwą gruzu na I piętrze domu Min.Sprawiedliwości, gdzie w czasie Powstania mieścił się szpital Długa 7.

W marcu 1945r. podjęłam pracę w Biurze Odbudowy Stolicy. Jednocześnie ukończyłam studia w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, / absolutorium, dyplom Nr.2180/. W następnym roku wyjechałam na Wybrzeże: Gdynia, Szczecin, gdzie pracowałam w pionie finansowo-księgowym w przedsiębiorstwach połowowych i żeglugowych - ostatnio w Polskiej Żegludze Morskiej w Szczecinie w charakterze kierownika księgowości. Pracę przerwałam w 1960r. z uwagi na zły



L. d. 2883 USK 01

5/1-55

stan zdrowia i obowiązki rodzinne / 2-je dzieci, ciężko chora matka/. Do otrzymania w 1977r. emerytury i renty inwalidy wojennego - byłam na utrzymaniu męża Adama Jasiaka, który prowadził warsztat rzemieślniczy.

Od 1971r. mieszkam w Poznaniu, w domu jednorodzinnym, od 4-ch lat zupełnie sama. Moje dzieci mieszkają za granicą, mąż z którym rozwiodłam się w 1979r. /ale mieszkaliśmy pod jednym dachem/, zmarł w 1997r. Pogarszający się stan zdrowia sprawia, że mam b.ograniczone możliwości poruszania się poza domem. Mimo to, pracuję jeszcze społecznie, a mianowicie kontynuuję rozpoczęte przez męża prace wodociągowe i kanalizacyjne na naszym osiedlu Ławica w Poznaniu. Za aktywność i dobre wyniki pracy na stanowisku przewodniczącej Społecznych Komitetów - w ubiegłym roku zostałam uhonorowana przez Prezydenta m.Poznania specjalnym podziękowaniem i srebrną rożyczką.

Po wojnie nie ujawniłam się. Do żadnych partii politycznych nie należałam i nie należę. W dn.8.12.69r. zapisałam się do ZBoWiD-u w Szczecinie, a następnie należałam do ZBoWiD-u w Poznaniu. Na własną prośbę wypisano mnie ze Związku z dniem 27.02.1991r.

Obecnie, od 1.06.1989r. należę do SZŻAK Okr.Wielkopolska, leg,Nr.36639 z 28.02.1992r.

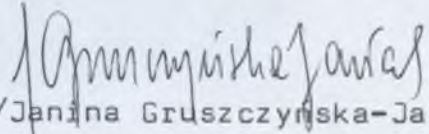
Poza tym od 21.10.1978r. jestem członkiem zwyczajnym Związku Inwalidów Wojennych RP, leg.Nr.45574, oraz Związku Powstańców Warszawskich Zarz.Gł. - leg.Nr.2414 z 23.09.1991r.

Posiadam następujące odznaczenia: Krzyż Kawalerski OOP, Krzyż Walecznych, Krzyż Armii Krajowej, Warszawski Krzyż Powstańczy, Krzyż Partyzancki oraz medale - Wojska, Za Warszawę, Zwycięstwa i Wolności.

Moja relacja, wraz z relacją koleżanki Barbary Gancarczyk na temat egzekucji rannych na Starym Mieście w Warszawie, w dn. 2.09.44r. znajduje się:

w Wojskowym Instytucie Historycznym PAN
Muzeum Historycznym m.Warszawy
Muzeum Powstania Warszawskiego
Archiwum Polski Podziemnej A.Kunerta

Składałam także zeznania przed Komisją do Badania Zbrodni Hitlerowskich w Poznaniu.


/Janina Gruszczyńska-Jasiak/

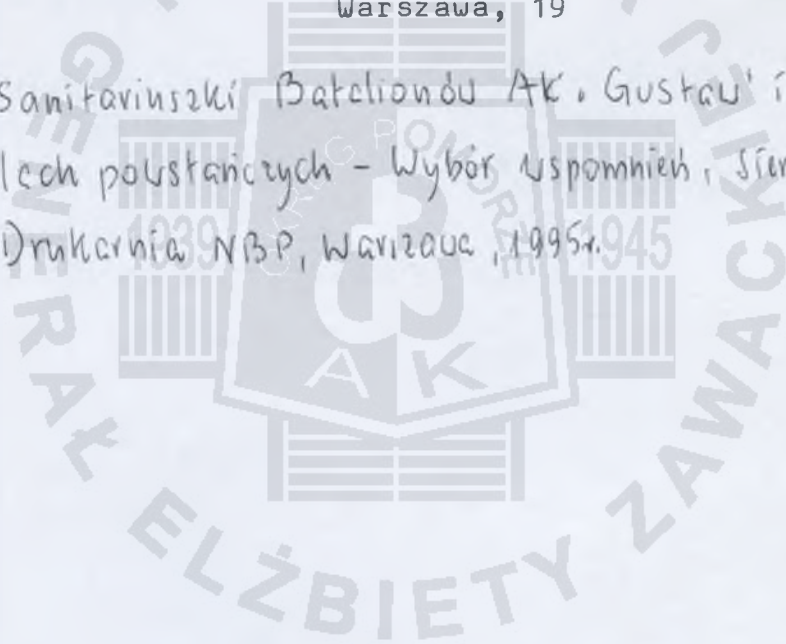
I 11-56



L.dz. 2883 WSK 01

B i b l i o g r a f i a :

1. Batalion Harcerski "Wigry" - album, Warszawa, 1994r.
2. Bielecki Robert - Batalion Harcerski "Wigry, Warszawa, 1991r.
3. " " - "Gustaw" - "Harnaś" - dwa powstańcze bataliony, Warszawa, 1989r.
4. " " - Długa 7 w Powstaniu Warszawskim, Warszawa, 1994r.
5. Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powstania Warszawskiego, tom IV, Warszawa, 1997r.
6. Urbanek Bożena - Pielęgniarki i sanitariuszki w Powstaniu Warszawskim, Warszawa, 1988r. /liczne błędy/
7. Potulicka-Łatyńska Teresa - Dziennik powstańczy 1944r, Warszawa, 1998r.
8. Wiśniewska-Sikorska Maria - Szpitale powstańczej Warszawy, Warszawa, 19
9. Sanitariuszki Batalionu AK "Gustaw" i "Harnaś" w szpitalach powstańczych - Wybór wspomnień, sierpień - wrzesień 1944r, Drukarnia NBP, Warszawa, 1995r.





12 DOKUMENTY DOT. OSOBY RELATORA

- Legitymacje Książa Armii Krajowej, Londyn 1948, 1 ksero, k. 1, s. 1
- Legitymacje Książa Walecznych, Londyn 1949, 1 ksero, k. 1, s. 2.
- Pismo Komitetu wpięńskiego w sprawie wniosku o mianowanie UM, W-wa 1970, mkp 1 ksero, k. 1, s. 3.
- Pismo ZBoWiD do Zarządu Okręgu Warszawskiego w sprawie wniosku o mianowanie UM, W-wa 1970, mps 1 ksero, k. 1, s. 4.
- Legitymacje Książa Partyzanckiego, W-wa 1973, 1 ksero, k. 1, s. 5.
- Legitymacje Medalu Zwycięstwa i Wolności 1945, W-wa 1973, 1 ksero, k. 1, s. 6
- Legitymacje Medalu ze Warszawy 1939-1945, W-wa 1973, k. 1, s. 7
- Legitymacje Książa Kawalerskiego Orderu Odnowienie Polski, W-wa 1975, 1 ksero, k. 1, s. 8.
- Legitymacje Warszawskiego Książa Powstańczego, W-wa 1982, 1 ksero, k. 1, s. 8.
- Medalnie Odznaki Honorowej Środowisko "Gustaw-Hermes", W-wa 1985, 1 oryg. 1, k. 1, s. 10.
- Odpis skrócony aktu urodzenia, W-wa 1978 1 oryg. 1, k. 1, s. 11
- Mianowanie na stopień podporucznika, W-wa 2001 1 ksero, k. 1, s. 12.

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr 29139.....

Stopień imię, nazwisko śł. sanit......

JASIAK z d. GRUSZCZYŃSKA JANINA
ps. "JANKA"

Oddział AK.....

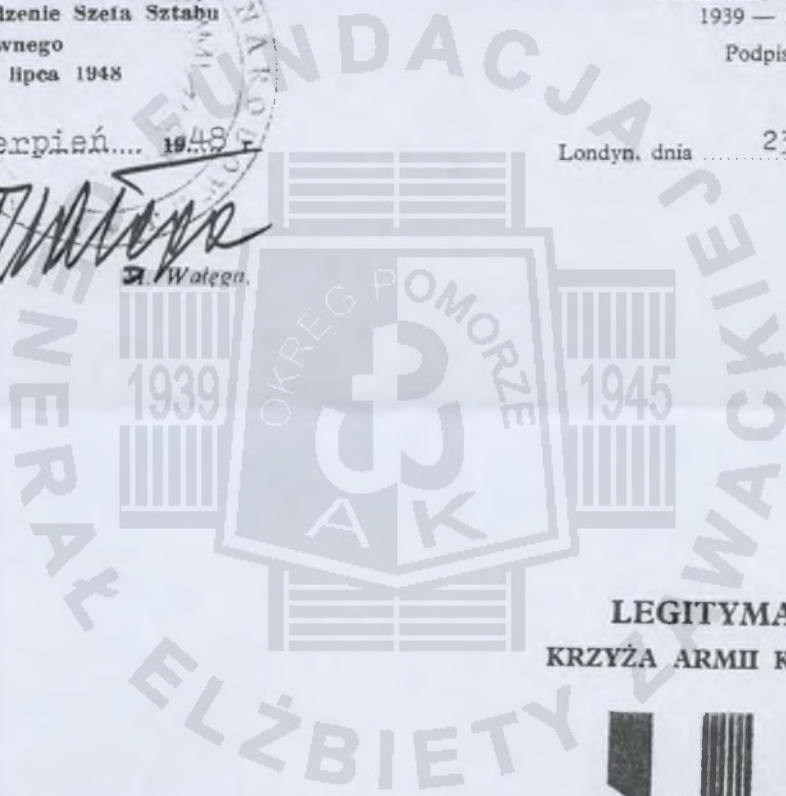
Odznaczony został po raz 1, 2 i 3

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu
Głównego
z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15...sierpień... 1948

[Signature]
Walegn.



5/27

Nazwisko GRUSZCZYŃSKA-JASIAK.....

Imię Janina......

Pseudonim "JANKA" "JOANNA URBANSKA".....

Przydział Bat. "Wigry".....

W-wa......

Odznaczony został

KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez
dowódcę A. K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego
dla upamiętnienia wysiłku Żołnierza Polski
Podziemnej w latach

1939 — 1945

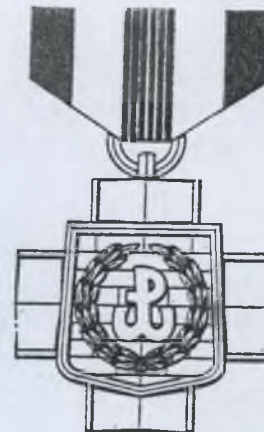
Przebiegający

Podpis: *[Signature]*
Korpus Armii Krajowej

M. Mandziara "Stry"

Londyn, dnia 23/4/82

**LEGITYMACJA
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ**



Nr. 25813.....

I 12-2



17 lutego 1945¹ I/2-4 4.

Droga Koleżanko!

Nasz Komitet węgierski przygotował wnioski na Virtuti Militari dla 2 ch koleżanek:

- 1- dla koleżanki
- 2- dla Basi "Pajak".

Obie Panie wykażają taką postawę w powstaniu że chciałbym z prawdziwą przyjemnością złożyć koleżankom gratulacje po pozytywnym zakończeniu tych wniosków. w sprawie

Wniosku ~~o~~ koleżanki przesłany poprzez Oboję Warsz. bezpośrednio do Biuletynu ZBoWiD w Szerecku, w tym celu proszę o jaknajszyciejsze przesłanie mi adresu Biuletynu ZBoWiD do którego koleżanka należy. Żeby było szybciej to może koleżanka przekaże ten adres telefonicznie do Basi

Gancarczyk (z którą jestem w kontakcie) łączę bardzo serdeczne pozdrowienia.

Jerzy Chorzewski
"Przymus".

Warszawa 12
Ul. Wronicza.



5/2-6

Warszawa, dnia 7 III 1970 r.

5.

tel. 29-32-81

del. 207/014/70

Związek Bojowników
O Wolność i Demokrację
Zarząd Okręgu w Szczecinie
ul. Wielkopolska 18

Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Warszawie,
pozwala sobie przesłać w załączeniu wnioszek o nadanie członkowi W/Okręgu

Kol. Janinie GRUSZCZYŃSKIEJ-Jasiak

zamieszkałej w Szczecinie przy ul. Tarczyńskiego

nr. leg. 8229/Sz.

Krzyża Virtuti Militari.

Wniosek o nadanie tego odznaczenia został sporządzony przez Komitet Sro-
dowiskowy b. żołnierzy beonu "Wigry" A.K., działający przy naszym Okręgu.

Załącznik: w/v wnioszek.

(7 rest)

Vice-Prezes
Zarządu Okręgu

Jerzy Bąbrowski



5/2-8

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 965-71-3

WARSZAWA

dn. 23 marca 1973 r.

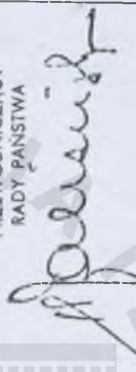
UCHWAŁA RADY PAŃSTWA

odznaczony (a) został (a)

Ob. GRUSZCZYŃSKA -
JASIAK Janina

KRZYŻEM PARTYZANCKIM

PRZEWOONICZĄCY
RADY PAŃSTWA



I 12-9



l. d. 2883 05K 01

I 12-10

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 9 65-71-55

WARSZAWA

dn. 23 marca 1973 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

odznaczony (a) został (e)

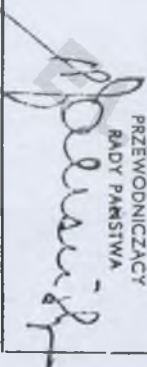
Ob. GRUSZCZYŃSKA-

JASIAK Janina

M E D A L E M
ZWYCIĘSTWA I WOLNOŚCI

1945 r.

PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA



L. dz. 2883 MSK ON



I 12-11

5/12-12

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 965-71-16

WARSZAWA

dn. 23 marca 1973 r.

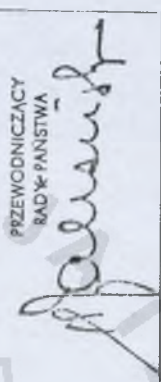
UCHWAŁA RADY PAŃSTWA

z dnia 23 marca 1973 r.
odznaczony (e) został (a)

Ob. GRUSZCZYŃSKA -
JASIAK Janina

MEDALEM ZA WARSZAWĘ
1939 - 1945

PRZEWODNICZĄCY
SĄD & PAŃSTWA



I 12-13



L. 02. 2863 WSK 01

5/2-14



»Intrografia» - 75



POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 1442-75-25

WARSZAWA

dn. 27 sierpnia 1975 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA

z dnia 27 sierpnia 1975 r.

odznaczony(a) został(a)

GRUSZCZYŃSKA -
Ob. JASIAK

Janina c. Tadeusza

KRZYŻEM KAWALERSKIM
ORDERU ODRODZENIA POLSKI

PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA

I/2-15



J/2-16

POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr 11-82-104 K

WARSZAWA

dn. 13 stycznia 1982 r.

UCHWAŁA RADY PAŃSTWA

z dnia 13 stycznia 1982 r.

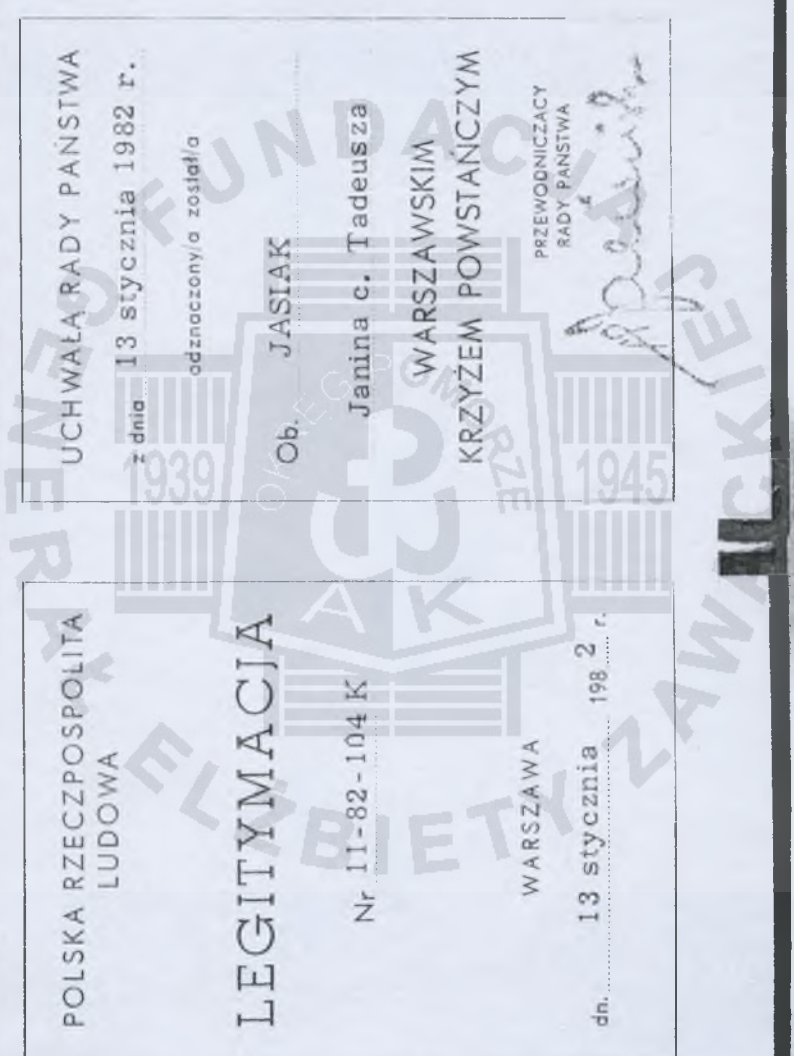
odznaczony/a została/a

Ob. JASIAK

Janina c. Tadeusza

WARSZAWSKIM
KRZYŻEM POWSTAŃCZYM

PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA



I/2-14



l. d. 2. 2883 HSK 01

I/2-18 8.



1074 / 23 Xc

72 nr 0004 1989

FUNDACJA
ELŻBIETY Z

... pamiętam o ofiernej pomocy wamym żołnierzom pozostałym na Starobrze...



I 12-19

12-10

Koleżance Janinie Gruszczyńskiej - sanitariusze "Jance' a beonu, Kiny"
& myżarom i ndziejowoi i macunku

madziemy

odznakę honorową Srodowiska "Gustaw - Flarus"

jako donid szereplnego ubienomoma.

Warszawa 10 marca 1950.

Stwierucha

I 12-21



Wpłynęło dnia 28 08 2001
Lp. 2882 / 1576

T/2-22



POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Województwo

URZĄD STANU CYWILNEGO w Warszawa-Sródmieście

Odpis skrócony aktu urodzenia

- 1. Nazwisko Gruszczyńska - - - - -
- 2. Imię (imiona) Janina - - - - -
- 3. Data urodzenia Jedenastego grudnia - - - - -
tysiąc dziewięset dwudziestego drugiego 19 22 r.
- 4. Miejsce urodzenia Warszawa
- 5. Nazwisko i imię Gruszczyński Tadeusz - - - - -
(ojca) - - - - -
zawód - - - - -
- 6. Imię i nazwisko rodowe Natalia Wiśniewska - - - - -
(matki) - - - - -
zawód - - - - -

Poświadczam się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu urodzenia Nr J-19/213/1924

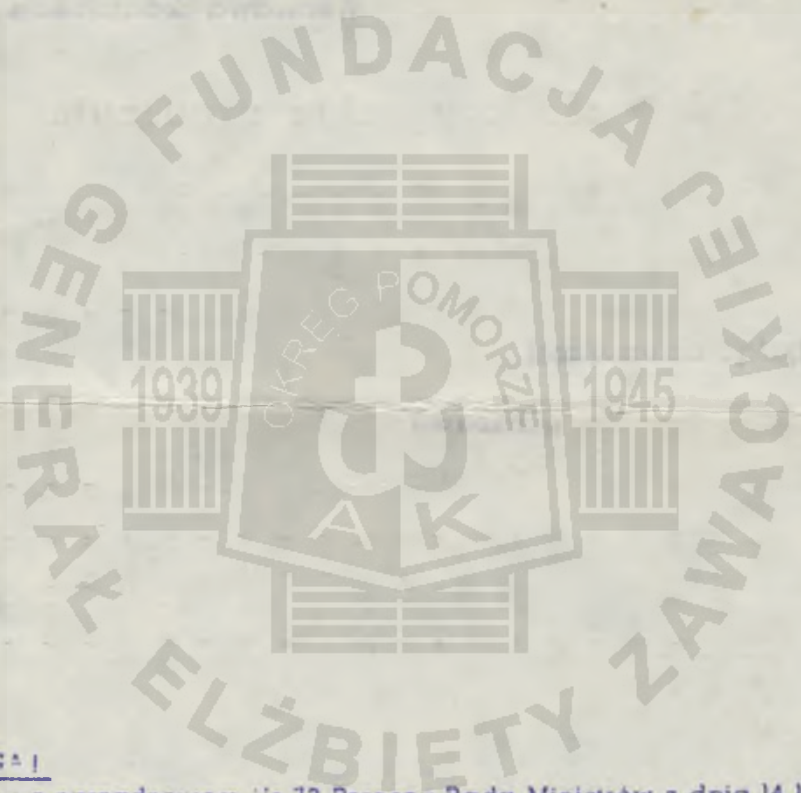
Warszawa dnia 24 stycznia 1978 r.



z up. KIEROWNIK
Urzędu Stanu Cywilnego

Krzyszna Koper

I/2-23



UWAGA!

Zgodnie z zarządzeniem Nr 73 Prezesa Rady Ministrów z dnia 14 lipca 1971 r. w sprawie ograniczenia żądania zaświadczeń od obywateli (M. P. Nr 39/71 pol. 233) - żądania przedstawienia odpisów aktów stanu cywilnego przez urzędy, instytucje, jednostki gospodarki społecznej oraz organizacje społeczne - jest dopuszczalne tylko w wypadkach określonych dokładnym wymogami przepisami obowiązujących ustaw lub dekretów. Do innych celów dane personalne nie mogą być stwierdzone na podstawie dowodów osobistych, oficjalnych obywateli (łączonych pod rygorem odpowiedzialności z art. 247 K.K. za fałszywe zeznanie), świadectw szkolnych, przy zapisach do szkół i uczelni).

I/2-2h



SIŁY ZBROJNE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

mianował

nie będącego w czynnej służbie wojskowej

szer.nie podl.ob.sł.wojsk. GRUSZCZYŃSKA-JASIAK Janina
c.Tadeusza r.1922

na stopień

PODPORUCZNIKA WOJSKA POLSKIEGO

z dniem 1 czerwca 2001 r.



S Z E F
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego

plk dypl. Władysław Hammer

08.08.2001 r.

(data)

I/12-25



Wpłynęło dnia 25. 10.
Licz. 3499 NISK 1001

II MATERIAŁY UZUPEŁNIĄCY RELACJĘ.

- List w sprawie Barbary Górniewicz odznaczonyj UM,
Poznań 2001, mps / kopie /, k. 3, s. 1-3.



Wpłynęło dnia 27 08 2001

Liczba 2883/404

Poznań, dnia 30 lipca 2001r.

Gromadzka - Janek Janina
Poznań

Szanowna Pani, EZ

Moja przyjaciółka Barbara Gancarczyk, odznaczona krzyżem VM za udział w Powstaniu Warszawskim, powiadomiła mnie, że w rozmowie telefonicznej w dn.30 czerwca rb, wyraziła Pani zainteresowanie moimi wojennymi przeżyciami.

Basię Gancarczyk z domu Piotrowską, poznałam w szeregach Harcerskiego Batalionu AK "WIGRY", w czasie okupacji. Razem brałyśmy udział w szkoleniach, w czasie Powstania Warszawskiego zostałyśmy przydzielone do 2-go plutonu kompanii szturmowej bat."Wigry", razem podjęłyśmy decyzję o pozostaniu na Starym Mieście po wycofaniu się AK do śródmieścia i ratowałyśmy rannych kiedy na Starówkę w dn.2.09.44r. wkroczyli Niemcy. Wywiezione do Rzeszy pracowałyśmy w fabryce zbrojeniowej "Famo-Werke" we Wrocławiu. 9 grudnia 1944r. uciekłyśmy z obozu, przeszłyśmy granicę GG i dotarłyśmy do Nowego Targu, gdzie miałam kuzynów. Po wkroczeniu wojsk sowieckich - na drugi dzień, wyruszyłyśmy na piechotę do Warszawy.

Te wspólne przeżycia koleżanka opisała w swojej relacji, skąd dowiedziała się Pani o moim udziale w Powstaniu Warszawskim.

J... /LSK Moja relacja jest dalszym ciągiem relacji Basi z dn.2 września 1944r, kiedy to Niemcy przystąpili do likwidacji ciężko rannych w szpitalu przy ul.Długiej 7, dobijali rannych na ulicach, miotaczami płomieni podpalali domy opuszczone przez mieszkańców. Wspomnienia tej wstrząsającej tragedii, jak również wybuchu t.zw. czołgu-pułapki /zostałam wtedy ranna/, będą nas prześladować do końca życia.

Po wojnie wyjechałam na Wybrzeże /Gdynia, Szczecin/, a od 30-tu lat mieszkam w Poznaniu. Z "Wigierczykami", szczególnie z Basią, utrzymywałam stały kontakt. Od kilku lat nie jeżdżę już do Warszawy na rocznicowe uroczystości, gdyż mam kłopoty ze zdrowiem.

Co do odznaczeń, to od por."Prymusa" /Jerzy Chorzewski/ otrzymałam list z 17.02.70r., który będąc przewodniczącym Komitetu Wigierskiego powiadał mi, że dla koleżanki Basi "Pająk" i mnie - sporządzono wnioski o odznaczenie nas krzyżami VM /ksero w załączeniu/.

Przy liście z dn.10.03.70r. por."Prymus" przysłał mi wtórnik pisma ZBoWiD Okręgu Warszawskiego z dn.7.03.70r, do ZBoWiD-u Zarząd Okręgu Szczecińskiego /ksero w załączeniu/, przy którym przesłano wniosek wraz z załącznikami na odznaczenie mnie krzyżem VM. Jednocześnie por."Prymus" przynaglał, abym dowiadywała się o przebiegu załatwiania sprawy.

Po pewnym czasie udałam się do ZBoWiD-u w Szczecinie, ale odmówiono mi udzielenia jakichkolwiek informacji.

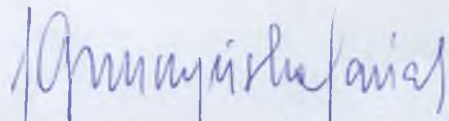
W czerwcu 1971r. ponownie byłam u prezesa Okręgu ZBoWiD w Szczecinie z prośbą o informacje. Dowiedziałam się, że wniosek został sporządzony nieformalnie /pod nagłówkiem formularza litery małe zamiast dużych, uzasadnienie wniosku częściowo na załączniku - nie zmieściło się na formularzu/, wobec czego wniosek odłożono ad acta. Dlaczego nie zwrócono wniosku do Warszawy, dlaczego nie powiadomiono mnie o tym, kiedy byłam poprzednim razem - nie otrzymałam odpowiedzi. Nastawienie do mojej sprawy było wyraźnie negatywne.

Wiosną 1974r. Komitet Wigierski powrócił do spraw odznaczenia krzyżem VM. Mieszkałam już wtedy w Poznaniu. W Wojewódzkim Okręgu ZBoWiD poinformowano mnie, że mam wszelkie dane, aby to odznaczenie otrzymać.

W dn.9.10.1975r. w Urzędzie do Spraw Kombatantów w Warszawie, zostałam ku memu zaskoczeniu udekorowana Krzyżem Kawalerskim OOP zamiast krzyżem Virtuti Militari, czego niezmiernie żałuję.

Jeżeli przesłana przeze mnie relacja wzbogaci Archiwum WSK, to będę niezmiernie usatysfakcjonowana.

Przesyłam Pani wyrazy głębokiego szacunku i poważania



Janina Gruszczyńska-Jasiak

60-186 P o z n a ń

Z a ł ą c z n i k i:

1. fotografia
2. życiorys
3. relacja z dn.2.09.44 - moja relacja jest dalszym ciągiem relacji koleżanki B.Gancarczyk



L.dz. 2883 WSK 01

4. ksero listu z 17.02.70r. od por."Prymusa" o sporządzeniu dla mnie i dla koleżanki Basi "Pająk" wniosku na odznaczenie krzyżem VM.
5. ksero pisma z 7.03.70r. ZBoWiD Zarząd Okręgu Warszawa, do ZBoWiD Okręg w Szczecinie, przy którym przesyłają wniosek wraz z załącznikami na krzyż VM dla mnie
6. ksero legitymacji 8 posiadanych odznaczeń, w tym Krzyża Walecznych, przyznany w czysie Powstania
7. ksero bileciku "Ikara", który wraz z bukietem róż otrzymałam od niego w rocznicę wyniesienia go przeze mnie ze St.Miasta
8. podziękowanie od batalionu "Gustaw-Harnaś" za ratowanie rannych w dn.2.09.1944r.
9. ksero 3 kart pocztowych, przysyłanych do obozu we Wrocławiu.



W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie w Polsce panowała sytuacja polityczna, która nie sprzyjała działalności kulturalnej i naukowej. W tym czasie w Polsce panowała sytuacja polityczna, która nie sprzyjała działalności kulturalnej i naukowej. W tym czasie w Polsce panowała sytuacja polityczna, która nie sprzyjała działalności kulturalnej i naukowej.



Wysłano dnia 27 08 2001

VI - 6

6.

POSIADANE OZNACZENIA:

- 1. KRZYŻ KAWALERSKI DOP - Uchwała Rady Państwa z 17.08.1975r. Nr. 1442-75-25
- 2. KRZYŻ WALECZNYCH - MON Londyn, 30.12.1949, Nr. 55955
Wentkowskiej - MON Warszawa 20.08.18.06.1974, Nr. DK-8579/W
- 3. KRZYŻ ARMII KRAJOWEJ - MON Londyn, 25.04.1982, Nr. 25813
- 4. WARSZAWSKI KRZYŻ POWSTĄNCZY - Uchwała Rady Państwa z 13.01.1982r. Nr. 1182-104K
- 5. KRZYŻ PARTYZANCKI - Uchwała Rady Państwa z 23.05.1973r. Nr. 365-1-3
- 6. MEDAL WOJSKA - MON Londyn, 15.08.1948, Nr. 29139
- 7. MEDAL ZA WARSZANÓW - Uchwała Rady Państwa z 20.03.1973r. Nr. 965-1-16
- 8. MEDAL ZWYCIĘSTWA I WOLNOŚCI - Uchwała Rady Państwa z 23.05.1973r. Nr. 965-1-55

Kserokopie w załączeniu!

III/5 JUNE

- Bilet wyzutyony z wyrazami wdzięczności od Józefa Szymeniskiego
1845 n., 12sevol, k.1, s.1



III 15-1

7.

P. Janina Imreczyńska
 ul. Ossowska



N dowód bezgranicznej
 wdzięczności
 2 IX 45r. Jurek

Ksero biletu wizytowego, dołączonego do piśmego bukietu róż, który
 w pierwszą rocznicę uratowania go ze Starego Miasta, otrzymam od . 16 ara' 98



L.dz 2883 WSK on

IV/11 KORESPONDENCYA 2 FAPAK



IV/11-1

Toruń 21 XI 2001 r.

MEMORIAŁ

General Marii Wittek

Pani Janina Gruszczyńska-Jasiak

60-186 Poznań

l.dz.4233 WSK 2001

Szanowna Pani,

Dziękuję za list, uzupełnienie relacji i kolejne przekazane materiały: Odpis skrócony aktu urodzenia i Mianowanie na stopień podporucznika Wojska Polskiego. Zostały dołączone do Pani teczki. Gratuluję Pani sukcesów w pracy społecznej i życzę dużo zdrowia.

Szanowna Pani prof. Elżbieta Zawacka pracuje właśnie nad książką poświęconą kobietom odznaczonym Orderem Virtuti Militari. Czy posiada Pani może jakieś informacje na ten temat? Jeśli tak proszę o przesłanie do nas. Poza tym interesują nas wszelkie informacje o kobietach-żołnierzach II wojny światowej. Może mogłaby Pani napisać coś o swoich koleżankach z okresu okupacji? Może zna Pani adresy kobiet, które mogłyby przesłać do nas relację z przebiegu swojej służby wojenne? Proszę o pomoc w tej sprawie.

Załączam serdeczne pozdrowienia i życzenia zdrowia.

Z wyrazami szacunku

Dorota Kromp
Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK

odp. me

L.dz: 3498 WSK 01

Janina Gruszczyńska-Jasiak
60-186 Poznań,

Poznań, dnia 20 października 2001r.

IV 11-2

Wpłynęło dnia 14.10.01
L.dz. 5488 HSK 1001
D.V.

Szan. Pani

Dorota Kromp
Dokumentalistka Archiwum WSK

87-100 T o r u ń

Szanowna Pani,

Cieszę się, że kserokopie dokumentów które wysłałam Pani E. Zawackiej dotarły do Pani rąk. Dla uzupełnienia mojejteczki Nr.2552/wsk, załączam metrykę, a także kserokopię nominacji na podporucznika WP /książeczka wojskowa Nr.HR 129924, Wku, z dn. 21.09.2001/, którą otrzymałam w międzyczasie.

Co do danych dotyczących mego życia prywatnego, to od 1952r. związana byłam z Adamem Jasiakiem - małżeństwo zawarliśmy 25.04.1959r. w Szczecinie. Mam dwoje dzieci: syna Norberta Tomasza Jasiaka ur. 4.02.1955r. w Szczecinie oraz córkę Joannę Marię Jasiak ur.9.03.1963r. również w Szczecinie.

W lipcu 1971r. przeprowadziliśmy się do Poznania, gdzie mąż wybudował dom jednorodzinny. Z mężem rozwiodłam się 30.11.1979r., ale nadal mieszkaliśmy razem w wybudowanym domu, aż do jego śmierci w dn.24.09.1997r. Teraz jestem sama, gdyż dzieci wyjechały za granicę, gdzie założyły rodziny. Syn przebywa w USA, a córka w Kanadzie. Odwiedzają mnie i utrzymujemy stały kontakt.

Jak wspominałam w życiorysie, od 4-ch lat pracuję społecznie jako przewodnicząca Stowarzyszenia na rzecz budowy kanalizacji i wodociągu na Os. Ławica Zach. w Poznaniu. Są to inwestycje finansowane z dotacji Urzędu Miasta i wpłat udziałów przez właścicieli nieruchomości. Budowę zainicjował mój mąż, a ja ją kontynuuję od 1997r. do chwili obecnej. Na Osiedlu została ułożona sieć gazowa, wodociągowa i kanalizacji sanitarnej, długości kilkunastu kilometrów. W roku bieżącym buduję jeszcze ca 700 mb kanalizacji deszczowej. Jest to ostatnie moje zadanie, gdyż Os. Ławica ma już pełne uzbrojenie, a stan mego zdrowia uniemożliwia mi samodzielne wychodzenie z domu. Muszę podkreślić, że praca

społeczna na rzecz mieszkańców naszego Osiedla sprawiła mi wiele satysfakcji.

Przesyłam Pani serdeczne pozdrowienia oraz wyrazy poważania

Henryka Kosińska



V/11

Toruń 1 X 2001 r.

MEMORIAŁ

General Marii Wittek

Pani Janina Gruszczyńska-Jasiak

l. dz. 3247 WSK 2001

60-186 Poznań

Szanowna Pani,

Dziękuję za przesłanie cennych materiałów na temat Pani wojennej działalności (relacja i kserokopie dokumentów, zdjęcie). Zostały one dołączone do Pani teczki osobowej o numerze inwentarza 2552/WSK. Materiały od Pani dotarły już po tym jak wysłałam poprzedni list, w związku z czym prośby w nim zawarte są już nieaktualne. Proszę tylko o podanie daty ślubu, a także narodzin dzieci. Poza tym jeśli posiada Pani dokumenty związane z życiem prywatnym i zawodowym to proszę o przesłanie ich celem uzupełnienia teczki.

Załączam serdeczne pozdrowienia.

Z wyrazami szacunku

Dorota Kromp
Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK

odp. me

l. dz. 2883

WSK 21

MEMORIAŁ

General Marii Wittek

L. o/2. 2919/62

Toruń 30 VIII 2001 r.

Pani Janina Gruszczyńska-Jasiak

60-186 Poznań

Szanowna Pani,

Za pośrednictwem p. Ewy Krasnowolskiej wpłynęła do naszego Archiwum Pani relacja z przebiegu służby wojennej. Na jej podstawie założyłam teczkę osobową o numerze inwentarza 2552/WSK. Dziękuję za przekazanie swojej relacji. Z zainteresowaniem przeczytałam Pani dramatyczne wspomnienia z 2 września 1944 r. Jednak informacje dotyczące Pani losów wcześniejszych, a także powojennych są bardzo skromne. W związku z tym zwracam się do Pani z prośbą o uzupełnienie relacji na podstawie załączonego schematu relacji. Proszę także o przesłanie zdjęcia (z lat 40-tych lub współczesnego), a także dokumentów lub ich kserokopii związanych z Pani służbą wojenną (np. legitymacje odznaczeń, oświadczenia świadków), a także życiem prywatnym (np. metryka urodzenia, świadectwa szkolne, świadectwo ślubu, zaświadczenia z pracy itp.).

Szanowna Pani jeszcze raz dziękuję za przekazanie relacji. Przesyłam serdeczne pozdrowienia i mam nadzieję, że zechce Pani z nami współpracować.

Z wyrazami szacunku

Dorota Kromp

Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK

Załącznik

- 1) Schemat relacji WSK.
- 2) Ulotka informacyjna o FAPAK.
- 3) Ulotka wydawnicza.

pięć list

T. 2552 103k

GRUŻCZYŃSKA Janina

zam Janiak

ps "Borek", "Janka"

VI . Fotografie

T: 2552 | WSK

AK
W-w

Gruszczyńska Jemima
zaw. Jasiak

1939

1945

01 Fotografie - 1 kpl.



L.dz. 2883 WSK DA VI-2



JANINA GRUSZCZYŃSKA -
JASIAK
I. 1945r.

GRUSZCZYŃSKA Jemima

